



Alter pop

#14

ISSN 2084-4999 1,23 zł (23% VAT) wrzesień 2013

Dźwięk:

Obraz:

Słowo:

Interakcje:

Alter
pop
MAG E-ZINE

numer 14
wrzesień 2013
ISSN 2084-4999

Redaktor naczelny

Tadeusz Bisewski

Redakcja

Kamil Downarowicz
Karolina Joisan
Maciej Kaczmarowski
Ana Matusevic
Jakub Miłszewski
Agnieszka Młynarczyk
Wojciech Onyszków

Korekta

Wydawnictwo EKWITA
www.ekwita.pl

Wydawca

Alterpop Media s.c.
ul. Śląska 35/37
81-310 Gdynia

**NIE OGARNIASZ
INTERNETU
?**

WYPRÓBUJ NOWY,
NIEZWYKLE FUNKCJONALNY

ALTERPOP.PL

PREMIERY

plytowe

#blues #elektronika #rock

David Lynch

The Big Dream

Flirt Davida Lyncha z muzyką jest niemal tak długi, jak z kinem. Twórca **Twin Peaks** był współautorem soundtracku do **Głowy do wycierania**, swojego pełnometrażowego debiutu (a także do kilku następnych filmów). Pisał teksty i produkował utwory dla Julee Cruise i Jocelyn Montgomery. Grał na gitarze w projekcie BlueBob i współpracował z naszym rodakiem Markiem Żebrowskim na ambientowej płycie **Polish Night**. Przed dwoma laty Lynch wydał solowy debiut zatytułowany **Crazy Clown Time**. Była to dziwaczna mieszanka rocka, elektroniki i muzyki tanecznej. Teraz muzykujący reżyser powraca z kolejnym albumem. Zgodnie z tytułem, **The Big Dream** wypełnia oniryczna muzyka będąca uwspółcześioną wersją bluesa. Są więc typowe dla tej konwencji sekwencje akordów, są przestrzenne brzmienia wyrazistych gitar, jest nawet przeróbka **The Ballad of Hollis Brown**, starej piosenki Boba Dylana. Lynch okrasza każdy utwór swoim nosowym wokalem, który dobrze pasuje do muzyki. Jest to oczywiście blues w wydaniu białego ekscentryka, toteż



album nie reprezentuje tradycyjnej szkoły gatunku i fani B.B. Kinga mogą być zawiedzeni. Z czasem do utworów wkrada się też monotonia. A jednak po **The Big Dream** zdecydowanie warto sięgnąć, choćby dlatego że w pewnym sensie jest to muzyczny ekwiwalent niezwykłych filmowych dokonań Lyncha.

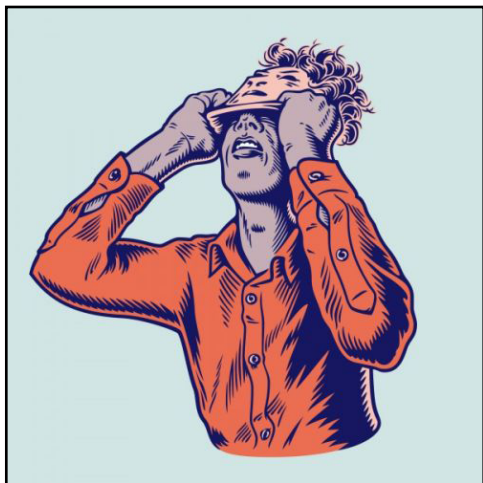
#2step #elektronika #techno

Moderat

II

Debiutancki album supergrupy Saschy Ringa (Apparat) oraz Gernota Bronserta i Sebastiana Szarego (Modeselektor), zatytułowany po prostu **Moderat**, był jednym z największych wydarzeń 2009 roku. Wraz z rewelacyjnymi koncertami zasłużenie przyniósł zespołowi kultowy status. Nie powinno zatem dziwić, że następca debiutu to jedna z najbardziej oczekiwanych tegorocznych premier.

II jest niejako logiczną kontynuacją swojej poprzedniczki (nawet na poziomie okładki) i podobnie jak ona, nie stanowi prostej sumy trzech indywidualności, lecz zespołowe dzieło. Przemyślane, zwarte i doskonale wyprodukowane. Trio jest wierne brzmieniu wypracowanemu na debiucie – to nadal energetyczna mieszanka 2-stepu, techno, dubu, ambientu i idmu, spowita nostalgiczną atmosferą. Tym razem obyło się bez śpiewających gości – wszystkie partie wokalne należą do Ringa. Swego rodzaju **novum** stanowi pełen rozmachu, dziesięciominutowy utwór **Milk**, w którym rozbrzmiewają echa ostatnich epek Buriala, ale to raczej wyjątek. Choć „dwójka” nie przynosi radykalnych zmian stylistyki, pod wieloma względami jest to album dojrzały i spójniejszy



niż „jedyńka”. Piękna, pełna szczerych emocji muzyka i bez wątpienia jedna z najlepszych płyt A.D. 2013.

#ambient #dub #etno

Hatti Vatti

Algebra

Piotr Kaliński to gitarzysta punkowego zespołu Gówno. Drugim biegunem jego muzycznych zainteresowań jest elektronika, którą tworzy solo pod szyldem Hatti Vatti. Po kilku winylowych singlach i epkach przyszedł czas na minialbum (35 minut). **Algebra** stanowi swoisty dźwiękowy reportaż z podróży po krajach arabskich, powstały w dużej mierze na nagraniach terenowych. Bliśko- i dalekowschodnie motywy zostały połączone z firmowym brzmieniem Hatti Vatti: nowoczesnym, skąpanym w ambiancie dubem kontynuującym najlepsze tradycje Rhythm & Sound niekwestionowanych mistrzów gatunku. Jest w tym również coś z atmosfery nagrań Demdike Stare, są to jednak luźne skojarzenia, bo Kaliński operuje własnym charakterem pisma. Ta muzyka jest przede wszystkim szalenie sugestywna. Słuchając jej, ma się nieodparte wrażenie obcowania z tajemniczym żywiołem, który nigdy tak naprawdę nie ujawnia się w całości. Artysta nie stroni bowiem od gry ciszą, która jest bardzo istotnym elementem jego twórczości. Kaliński doskonale rozumie, że ważne są nie tylko dźwięki, które się zarejestrowało, ale i te, które nigdy nie powstały. Producent przygotowuje już pełnowymiarowy album. Jeśli będzie na tym samym poziomie, co dotychczasowe osiągnięcia z **Algebrą** na czele, szykuje się rzecz wyjątkowa.

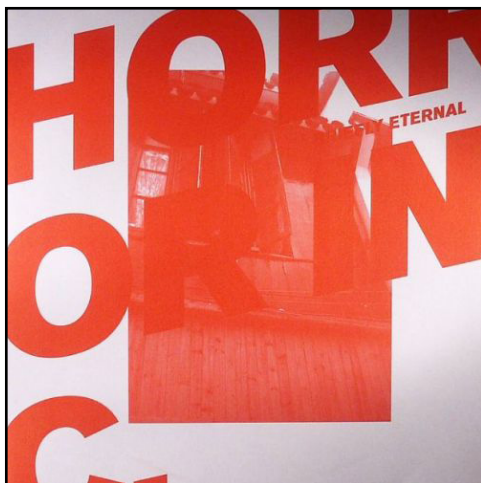


#click #microhouse #techno

Horror Inc.

Briefly Eternal

Marc Leclair zyskał rozgłos na początku wieku, kiedy jako Akufen wydał album **My Way**. Wypełniająca go muzyka składała się z króciutkich radiowych sampli, sklejonych ze sobą w niebywale precyzyjny sposób – na podobieństwo literackiej techniki „cut-up”, wymyślonej przez dadaistów i spopularyzowanej przez Williama Burroughsa. W ten sposób Kanadyjczyk zyskał miano pioniera microhouse’u. Równolegle wydawał muzykę pod innymi pseudonimami, m.in. Horror Inc. **Briefly Eternal** to pierwsza długogrająca płyta w tym wcieleniu i dowód na to, że Leclair z genialnego sklejacza sampli przeistoczył się we wszechstronnego kompozytora z prawdziwego zdarzenia. Przekonuje już o tym otwierający całość **Phowa**, w którym rozbrzmiewają echa starego, dobrego downtempo à la Ninja Tune. Swingujący **Mourning** łączy w sobie taneczny rytm z tęskną atmosferą podkreślaną partiami instrumentów smyczkowych. Melancholia to zresztą słowo klucz w przypadku tego albumu – czy będą to wokalne sample pocięte na modłę UK garage w **I Can’t Look At You**, czy jazzowe wątki w **Dans La Nuit** i **Bardo Thodol**. W niepokojącym **Remembrance** pojawia się nawiązanie do twórczości Murcofa, jeśli chodzi zarówno o dźwięki (połączenie muzyki klasycznej z rytmem cztery na cztery), jak i o tytuł (jedna z płyt meksykańskiego artysty nosi tytuł **Remebranza**). Wszystko to brzmi świeżo, spójnie i po prostu świetnie.



Skala ocen:

Space Ritual

Stairway To Heaven

To musi być miłość

Dusza diabłu sprzedana

Nadciągą noc komety

I Can’t Get No Satisfaction

Welcome To The Jungle

Ta piosenka powstała dla pieniędzy

**
Mam tak samo jak ty

*
Kim jest człowiek,
jeśli nie człowiekiem tylko



#funk #jazz #soul

Thundercat

Apocalypse

Kilka lat temu znajomy określił twórczość Jamiego Lidella mianem wy-czynów „elektronicznego Lionela Richiego”. Dziś taki tytuł mógłby z powodzeniem przypaść Stephenowi Brunerowi vel Thundercat. Ten mocno promowany muzyk to syn znanego jazzowego perkusisty, dobry znajomy Eryki Badu i protegowany Flying Lotusa, który dwa lata temu wyprodukował mu debiutancki **The Golden Age of Apocalypse**. Mając w pamięci porównanie do Richiego i rodzinno-towarzyskie koneksje, nietrudno zgadnąć, że zawartość drugiego albumu Thundercata to mieszanka staroświeckich brzmień – soulu, funku, jazzu i popu – ze współczesnymi naleciałościami (gałkami w studiu ponownie kręcił Lotus). Bruner nie tylko gra na basie i komponuje, ale też śpiewa. Najlepiej wychodzi mu ta pierwsza czynność, bo wokalistą jest raczej przeciętnym, zaś kompozytorem – najwyżej poprawnym. To samo można powiedzieć o **Apocalypse**. W kwestiach produkcji i wykonania nie ma się do czego przyczepić, ale trudno też mówić o zachwycie. Nic tu nie porywa ani nawet nie denerwuje. Wszystko jest tak wymuskane, że aż mdłe i nudne. Wprawdzie na okładce widnieje głowa artysty ozdobiona złotym laurem, ale nie dajcie się zwieść – w tym roku jest tylko jeden cesarz retro, za to dwugłowy. Nazywa się Daft Punk.



Opracował: Maciej Kaczmarek



#pop alternatywny #r'n'b' #retro

AlunaGeorge

Body Music

Wyspy Brytyjskie kojarzą się przede wszystkim z muzyką gitarową. Tymczasem od niedawna coraz głośniej mówi się o pochodzących stamtąd artystach i zespołach reprezentujących styl, który możemy śmiało określić jako pop z ambicjami. Do grona sław, takich jak James Blake czy Jamie Woon, dołączył ostatnio projekt AlunaGeorge. W jego skład wchodzi wokalistka Aluna Francis oraz producent George Reid. Poznali się przypadkiem, gdy George miał przygotować dla poprzedniej kapeli Francis – My Toys Like Me – remiks jednego z nagrań. Między parą zaiskrzyło i szybko padła decyzja o wspólnym graniu. Od tego czasu minęło kilka miesięcy i już możemy podziwiać tego efekty. Muzyka AlunaGeorge to bardzo dobrze wyprodukowana oraz niezwykle smaczna mieszanka klubowych rytmów, R’N’B, a także funku. Melodie szybko wpadają w ucho i łatwo nie dają o sobie zapomnieć. Aluna prowadzi nas swoim dziecięco-figlarnym głosem w takt ciepłych elektronicznych brzmień, które zawładnęły na czas wakacji angielskimi stacjami radiowymi. Wcale się temu nie dziwię.

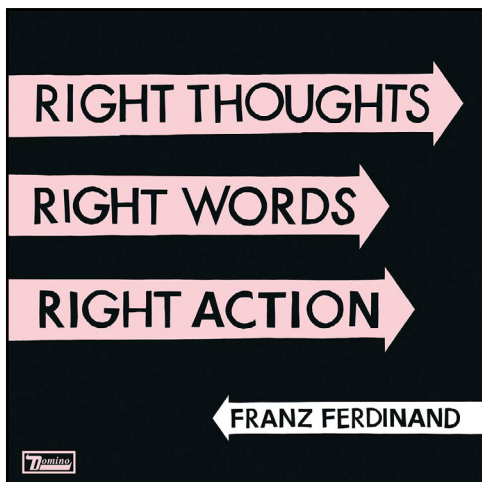
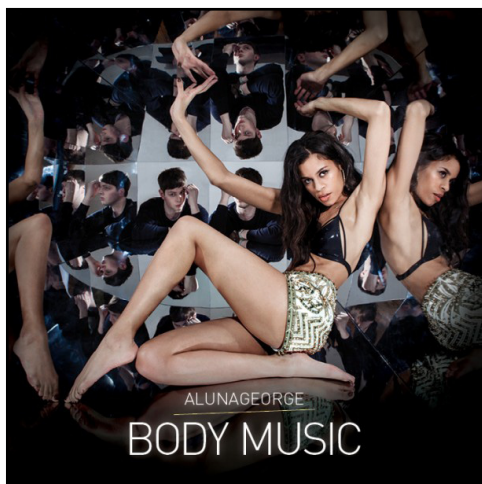
#indie #rock #dance rock

Franz Ferdinand

Right Thoughts, Right Words,

Right Action

Wydając nowy album, szkocki zespół stanął przed dwoma poważnymi wyzwaniami. Po pierwsze, ich poprzednia płyta z 2009 roku **Tonight: Franz Ferdi-**



nand zebrała kiepskie recenzje i nie trafiła specjalnie celnie w gusta słuchaczy, a po drugie, hype na indie-rock dawno już przeminął, a dzisiejsze poczynania Bloc Party czy Interpol pokazują, że nie łatwo zespołom oscylującym wokół tego gatunku złapać drugi oddech. Jak poszło Ferdinandom? Średnio. Na **Right Thoughts, Right Words, Right Action** zdecydowanie odeszli od udziwnień i postawili na proste środki. Skondensowanie brzmienia wyszło im na dobre – bas przyjemnie pulsuje, gitary rysują ładne melodie, do których można sobie śmiało potańczyć. Jednak, mimo wszystko, brakuje tutaj świeżości i ryzyka. Zupełnie, jakby zespół pomyślał sobie „nie wyszło nam kombinowanie, to wracamy do starego grania, wtedy nikt się już na pewno nie przyczepi”. No, ale niestety są na tym świecie tacy goście, którzy już tego nie kupią. Nie zrozumcie mnie źle – nie jest to płyta zła i odnajdziemy na niej kilka porządných kompozycji. No ale od niegdysiejszych gwiazd oczekujemy chyba nieco więcej.

#industrial #elektronika

Zola Jesus

Versions

Zola Jesus, a właściwie Nika Roza Danilova, to urodzona w Arizonie Rosjanka, która w swoim scenicznym pseudonimie połączyła postacie Jezusa i francuskiego pisarza Emila Zoli. W muzyce odwołuje się do mrocznych inkantacji Diamandy Galas, wczesnej eksperymentalnej elektroniki i pierwszej fali industrialu oraz – jak sama twierdzi – kompozycji Karla Heinza Stockhausena. Właśnie powraca z nową płytą, chociaż ze starym materiałem. O co w tym chodzi? Dzieściopunktowa playlista zawiera znane



już utwory artystki w symfonicznych aranżacjach. Przygotował je producent JG Thirlwell, znany bardziej jako Foetus, od lat kojarzony ze sceną industrialną. W przeciwieństwie do poprzednich dzieł wokalistki, tutaj na pierwszy plan wysuwa się jej głos, któremu towarzyszy wycofany nieco kwartet. Dzięki temu utwory zyskują na dramatyzmie i emocjonalności. Bardzo sugestywny i osobisty przekaz może powodować ciarki na ciele. Jest pięknie, urokliwie i enigmatycznie. Taką Zolę Jesus lubimy.

#eksperyment #r.e.m. #śmieszne

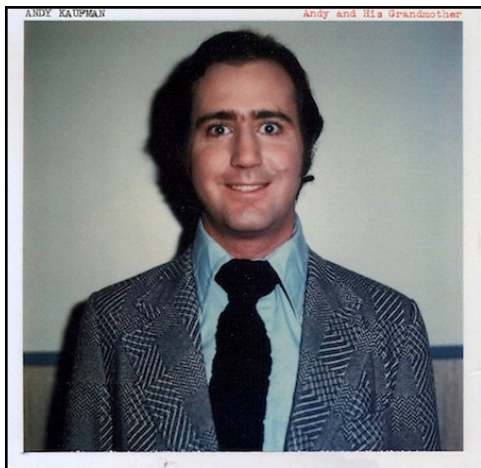
Andy Kaufman

Andy and His Grandmother

Nieżyjący od prawie 30 lat komik przeszedł do historii popkultury jako wybitna postać telewizji, w której rozśmieszał, denerwował i wprowadzał w zakłopotanie rzesze amerykańskich widzów. Mało kto wie o tym, że Kaufman także komponował i niemal wszędzie zabierał ze sobą dyktafon, aby rejestrować swoje codzienne, nietuzinkowe życie. Dzisiaj mamy okazję zapoznać się nagraniami Andy'ego sporządzonymi między 1977 a 1979 rokiem.

R.E.M. nazwali go „Człowiekiem z Księżyca” i ciężko nie przyznać im racji. Nie każdy Ziemianin zaprasza prostytutki na randki, krzyczy na policjantów i wdaje się w absurdalne dyskusje ze swoją babcią. Przezabawne dialogi uzupełniane są porcją awangardowej muzyki, którą ciężko jakkolwiek sklasyfikować – trzeba to po prostu usłyszeć. Obcowanie z ekscentrycznym umysłem Kaufmana jest naprawdę frapujące i polecam tę płytę każdemu, kto lubi artystyczne i intelektualne wyzwania.

Opracował: *Kamil Downarowicz*



#alternatywa #elektronika #singer-songwriter

Ifi Ude

Ifi Ude

Ifi Ude pierwszy raz usłyszałam w show telewizyjnym **Must be the Music**. I szczerze, na tle ogólnej beznadziei, jaką nieskromnie niektórzy „piosenkarze” i inne „zespoły” tam prezentowały, Ifi zabrzmiała jak powiew świeżego powietrza. Nie spodziewałam się, że uda jej się wygrać ten program, była zbyt... zbyt sobą, zbyt oryginalna – niczym kolorowy ptak.

Dlatego kiedy dowiedziałam się, że przygoda z MBTM to nie tylko chwilowy kaprys, że dziewczyna chce wydać płytę, że gra całkiem fajne koncerty, zaczęłam się interesować jej ścieżką muzyczną. Aż w końcu przyszedł moment na wydanie albumu. Jako osoba ceniąca swój indywidualizm, Ifi postawiła na crowdfunding – zebrała spory fundusz od osób, które chciały usłyszeć jej materiał, i udało się. Bez udziału wielkich wytwórni czy medialnego szumu. Ifi reklamuje się tylko swoim głosem i kompozycjami.

Płyta Ifi spełnia wszystkie pokładane w niej nadzieje: miejscami okraszona mocnym bitem (**My Baby Gone, ArkTika, Fala, Day**), miejscami piosenkowa i melancholijna (**Inna, Wełna, Constant Love**). Przede wszystkim jednak wypełniona osobowością Ifi, łączącą w sobie afrykańską i polską nutę. A to wszystko umiejętnie ubrane w bardzo nowoczesne dźwięki.

Karolina Joisan



The Beatles

Historia jednej okładki

Gdzieś w równoległym wszechświecie jedna z najślawniejszych płyt w historii muzyki nosi nazwę **Everest**, a jej okładkę zdobi zdjęcie grupy The Beatles wykonane w Himalajach. Jakie utwory możemy znaleźć na tym albumie? Krótkie spojrzenie na tracklistę i naszym oczom ukazują się **Come Together**, **Carry The Weight** czy **Oh! Darling**. Brzmi znajomo?

W 1969 roku The Beatles nie znajdowali się w najlepszym momencie swojej kariery. Byli niezadowoleni z poprzedniej sesji nagraniowej do krążka **Let It Be**. Konflikty wewnątrz składu wciąż narastały, a wraz z nimi frustracja muzyków. Coś musiało przerwać tę patową

sytuację. Wtedy właśnie John Lennon, Paul McCartney, George Harrison oraz Ringo Star postanowili zaryzykować raz jeszcze i zacząć od początku, odnaleźć w sobie radość tworzenia, która towarzyszyła im w dawnych latach. Do swojej wizji przekonali producenta Georga Martina i rozpoczęli nagrania. Padł wówczas pomysł, by nowy album nazwać **Everest** (była to ulubiona marka papierosów inżyniera dźwięku angielskiego bandu – Geoffreya Emericka), a zdjęcie do jego okładki wykonać w górach. Koncept ten jednak ostatecznie odrzucono.

The Beatles doszli do porozumienia i ich najnowszy krążek ochrzczono tytułem **Abbey Road**. Był to swoisty hołd złożony studiu nagraniowemu EMI w londyńskim St John's Wood. W przyszłości studio przyjmie nazwę tej płyty, przez co wielu ludzi będzie błędnie uważać, że to właśnie Lennon i spółka kolportowali **Abbey Road** na swoje potrzeby, a nie odwrotnie.



Ready? Steady? Go!





The Beatles

Abbey Road

Pozostała jeszcze kwestia dobrania odpowiedniej okładki dla płyty. Ze swoim pomysłem wyszedł Paul McCartney, który przedstawił szkic reszcie zespołu. Widać było na nim przejście członków grupy. Idea została zatwierdzona jednogłośnie przez cały zespół. Zdjęcie miał wykonać szkocki fotograf Iain Macmillan. W roku 1966 nawiązał

on znajomość z Yoko Ono, która z kolei zapoznała go z Johnem Lennonem. Od tego czasu Macmillan stał się głównym fotografem The Beatles.

Muzycy stawili się na sesję zdjęciową 8 sierpnia 1969 roku. Był słoneczny, letni dzień. Fotograf dysponował jedynie 10 minutami, w czasie których lokalny policjant kierował ruchem drogowym w taki sposób, aby nikt

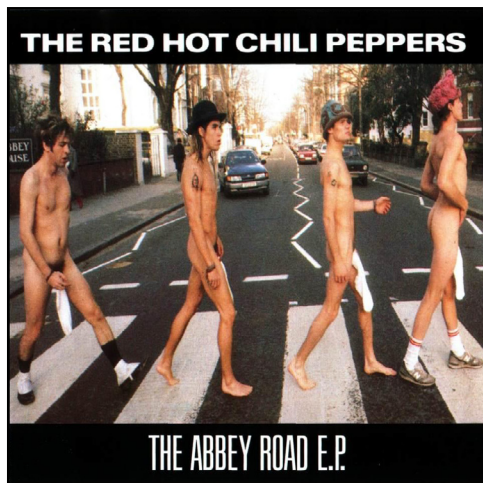
nie przeszkadzał artystom. Ale zanim Macmillan zaczął robić zdjęcia, wydało się jeszcze kilka rzeczy. Beatlesi zjawili się na miejscu w nienajlepszych humorach. Nie rozmawiali ze sobą, unikali jakiegokolwiek kontaktu. Nie dogadali nawet kwestii jednorodnych strojów, stąd każdy z nich przyszedł ubrany po swojemu. Kompozycja kadru zakłócona była przez zaparkowany w pobliżu studia biały garbus. Członkowie ekipy próbowali znaleźć jego właściciela – bezskutecznie. W końcu zdecydowali się popchnąć auto, co również się nie udało. Kierowca użył hamulca ręcznego. W końcu stanęło na tym, że samochód znajdzie się na zdjęciu.

Dokładnie o godzinie 11:30 policjant wstrzymuje ruch na jezdni. Do akcji wkracza fotograf. Muzycy przechodzą przez pasy trzy razy. Najbardziej entuzjastycznie nastawiony jest Paul, pomysłodawca sesji. Ściąga buty, próbuje rozluźnić atmosferę. Jednocześnie wokół planu zaczyna panować rozgardiasz. Kierowcy wychodzą ze swoich aut, by przypatrywać się zamieszaniu, w kadr wchodzi przypadkowi przechodnie. Na zdjęciu, które ostatecznie trafia na okładkę **Abbey Road**, znajdują się cztery osoby, które nie powinny tam się nigdy pojawić: trzech robotników i pewien turysta z Florydy.

Jak się miało wkrótce okazać, trud włożony w powstanie tego albumu opłacił się. Płyta oraz zdjęcie osiągnęły niebywały sukces. Kadr uchwycony przez Iainę stał się kultowym obrazem, a **Abbey Road** sklasyfikowany został na 14. miejscu listy najlepszych albumów w historii według magazynu Rolling

Stone. Słynne przejście dla pieszych stało się miejscem pielgrzymek fanów Beatlesów. Do dzisiaj londyńscy kierowcy na skrzyżowaniu ulic Abbey Road oraz Grove End Road wściekają się, kiedy muszą czekać, aż jakaś grupka zrobi sobie zdjęcie w tym samym stylu na legendarnych pasach. Popularność tego miejsca skłoniła rząd brytyjski do wpisania go na specjalną listę dziedzictwa narodowego. Wspomnieć też trzeba o tym, że całe mrowie artystów „coverowało” okładkę Abbey Road i dokonywało jej własnych interpretacji, np. Red Hot Chili Peppers.

Z samym zdjęciem wiąże się kilka interesujących historii. Wspomniany turysta, który znalazł się w kadrze, to Paul Cole przebywający na wakacjach w Londynie wraz z żoną. Kiedy robiono fotografię, czekał on właśnie na swoją wybrankę. Co ciekawe, nie rozpoznał zespołu i dopiero rok później zobaczył okładkę, której stał się przypadkowym bohaterem. Mało tego, Paul

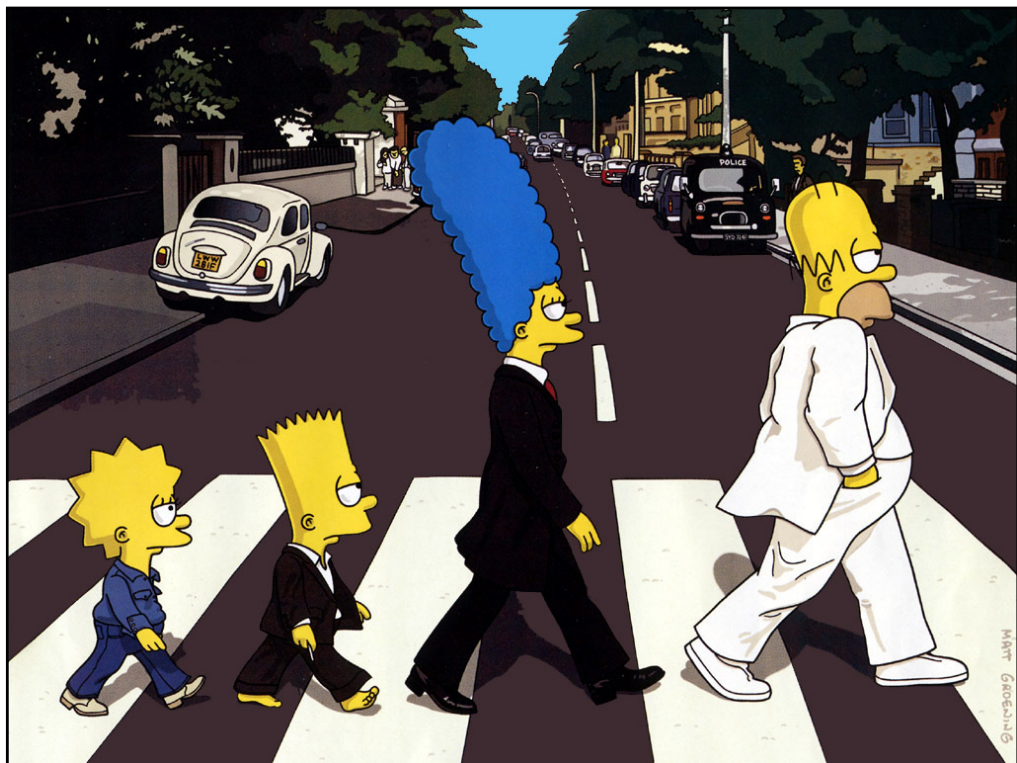


Red Hot Chili Peppers
The Abbey Road EP

nie lubił nawet The Beatles! Druga historia dotyczy białego garbusa. Otóż jakiś „oddany” fan postanowił ukraść tablice rejestracyjne pojazdu, a sam garbus znajduje się dzisiaj w muzeum Volkswagena w Wolfsburgu. Ostatnia ciekawostka zainteresuje zwłaszcza zwolenników spiskowych teorii. Wokół okładki **Abbey Road** narosła legenda związana z osobą Paula McCartneya. Zauważono, że jako jedyny z Beatlesów idzie boso, jako jedyny trzyma papierosa i jako jedyny nie kroczy równo. Nawet tablice rejestracyjnej samochodu w tle nadano specjalne znaczenie: 281F odczytano jako „28 gdyby”, czyli: „Paul miałby 28 lat, gdyby żył”. W chwili wydania albumu muzyk liczył sobie 27 wiosen. Sprawę pod-

kręcili Fred Labour i John Gray, studenci Uniwersytetu Michigan, którzy w październiku 1969 roku w gazecie Michigan Daily opublikowali recenzję albumu **Abbey Road** zatytułowaną **McCartney martwy; nowe dowody wyszły na światło dzienne**, w której udowadniali, że informacje o śmierci McCartneya znajdują się na okładkach albumów Beatlesów. Plotka żyła własnym życiem, aż urosła do rangi miejskiej legendy, która głosi, że **Paul McCartney tak naprawdę od wielu lat nie żyje i został zastąpiony sobowtórem**. Dzisiaj brzmi to doprawdy nieprawdopodobnie, ale w 1969 roku teoria ta miała wielu zwolenników.

Kamil Downarowicz



AlunaGeorge

r o z m o w a

Brytyjski duet **AlunaGeorge** to jeden z głośniejszych tegorocznych debiutów. Wokalistkę Alunę Francis i producenta George'a Reida połączyła wspólna fascynacja ambitnym popem, podszytym soulową nutą. O ich albumie **Body Music**, wspólnej pracy i nowych formach promocji muzyki rozmawialiśmy tuż przed koncertem na OFF Festivalu z męską częścią zespołu – George'em.

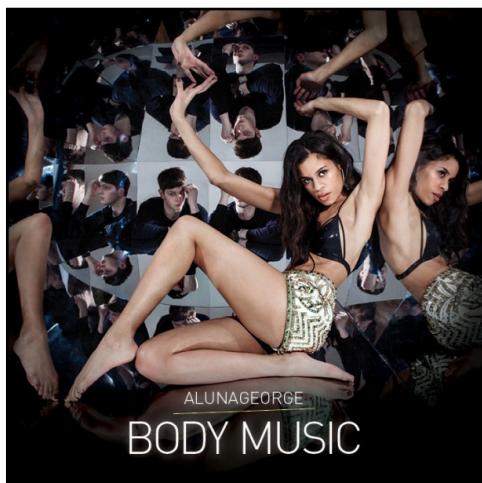
Jesteście w Polsce już od porannych godzin. Jak pierwsze wrażenia?

George Reid: Może Cię to zaskoczy, ale Wasz kraj przypomina mi Anglię! Krajobrazy są podobne, ludzie wydają się mieć podobną mentalność, więc czuję się trochę jak w domu. Poza tym, ten festiwal jest chyba blisko jakiegoś lotniska, bo cały czas samoloty przeemykają nisko po niebie, co jest trochę przerażające! Mieliśmy też okazję skosztować regionalnego piwa i jest ono naprawdę dobre, może nawet wezmę kilka butelek w dalszą trasę.

George, nie tęsknisz za graniem indie? W Twoim obecnym zespole nie ma zbyt wiele miejsca na gitary.

Dobre pytanie. Cóż, grałem na gitarze od lat. Codziennie. W pewnym momencie nie mogłem patrzeć już na swój instrument. Powiem Ci coś zabawnego: na albumie AlunaGeorge miałem umieścić gitarowe wstawki, ale tak

spodobała mi się zabawa elektroniką, że zupełnie o tym zapomniałem! Ostatnio grywam także na pianinie i chyba nie tęsknię za gitarą. W przyszłości na pewno powrócę do strunowych instrumentów, ale kiedy to będzie i w jakim projekcie – naprawdę nie mam pojęcia.



AlunaGeorge
Body Musci





Którą piosenkę z Waszego albumu Body Music najbardziej lubisz grywać na koncertach?

Moim faworytem jest You Know You Like It. Publika doskonale zna ten kawałek i zawsze wszyscy się przy nim doskonale bawią – co działa także na nas.

Przyznam, że mam problem z tym, czy określić Wasz zespół mianem popu czy alternatywy. Jak Ty to widzisz?

Z jednej strony nasze kompozycje mają popową wrażliwość, z drugiej strony zawsze lubiłem dziwne, niekonwencjonalne i „niezbyt przyjemne” dźwięki, które można odnaleźć w naszej twórczości. Popowe w AlunaGeorge jest także to, że melodie, które wymyślamy, można łatwo zapamiętać i później nucić sobie pod nosem... wydaje mi się, że znajdujemy się gdzieś na granicy tych dwóch światów – popu i alternatywy. Ale zdecydowanie różnimy się od zespołów,

które promowane są dziś w mediach. Musisz to przyznać.

Wasz debiutancki album ukazał się kilka dni temu. Jak się z tym czujecie?

To naprawdę wspaniałe uczucie. Jest to zwieńczenie naszej ciężkiej pracy i spełnienie marzeń. Od zawsze chciałem być muzykiem i nagrywać płyty, więc jestem prawdziwym szczęściarzem. Krytycy i ludzie interesujący się muzyką wypowiadają się o Body Music w superlatywach, co nas dodatkowo upewnia w tym, że podążamy właściwą ścieżką.

Zauważyłem, że podeszłście do promocji Body Music w dość oryginalny sposób. Zaangażowaliście Internautów w cyberpodróż po 10 stronach WWW, na których, po kolei, co godzinę, prezentowaliście swoje utwory.

Nowe czasy wymagają nowego podejścia od artystów. Rynek muzyczny to już

zupełnie inny krajobraz niż ten, który mogliśmy obserwować kilkanaście lat temu. Dla współczesnych odbiorców ważne są nowe i atrakcyjne formy promowania muzyki. Na pomysł 10 stron internetowych wpadł nasz menadżer, a nam bardzo ta idea się spodobała. W końcu poznałem Alunę przez Internet, w sieci były głośno komentowane nasze poczynania, więc jesteśmy z cyberprzestrzenią związani praktycznie od początku. Była to też pewna forma podziękowania naszym fanom za wsparcie, jakie nam okazali. Ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, jak duży wpływ mieli na nas, i jak bardzo nam pomogli.

Na koncertach staracie się używać żywych instrumentów, takich jak bas, perkusja i klawisze. Wygląda na to, że chcecie, by muzyka prezentowana na żywo była w pełni organiczna.

Dokładnie tak jest. A powiem Ci, że nie jest to wcale łatwe, kiedy większość muzyki tworzysz na komputerze. Musisz się

później nieźle nagłowić, jak „przenieść” te dźwięki z laptopa na instrumenty. Ale staramy się to robić. Fajnie jest mieć na scenie całą ekipę ludzi, z którą tworzysz zespół. Nie sprawiałoby nam też frajdy zwykłe stanie za monitorem i wpatrywanie się w niego. Wolimy kontakt z publiką, interakcję z ludźmi.

Poznałeś Alunę, kiedy robiłeś remiksy jej poprzedniego zespołu – My Toys Like Me. Jak szybko wpadliście na to, że chcecie pracować razem? Czy była to muzyczna miłość od pierwszego wejrzenia?

Rzeczywiście bardzo szybko między nami „zaiskrzyło”. To było naprawdę dziwne uczucie... wiesz, wbrew pozorom nie jest wcale łatwo znaleźć ludzi, z którymi doskonale zrozumiesz się w kwestii wspólnego grania, i wizji, jak ma to dokładnie wyglądać. Z Aluną pracuje mi się świetnie i myślę, że ona odbiera to podobnie.

Rozmawiał: Kamil Downarowicz



Trzecia strona muzyki

Lado ABC

Przemysł muzyczny głównego nurtu może przechodzić kryzys, ale rodzimy rynek muzyki niezależnej rozwija się prężnie i wielotorowo. Pojawia się coraz więcej wytwórni oferujących dźwięki dalekie zarówno od „trójkowej” quasy-alternatywy, jak i przaśnych przebojów festynowo-dyskotekowych. Jedną z takich wytwórni jest **Lado ABC**.

Pierwsze niezależne wytwórnie płytowe powstały w USA w latach 60. W Polsce, ze względu na ówczesny ustrój, publikacje muzyczne podlegały kontroli państwowego aparatu aż do końca lat 80. Artystom spoza oficjalnego kręgu pozostawało domowe nagrywanie kaset i dystrybucja w drugim obiegu. W następnej dekadzie, wraz z nastaniem ery wolnego rynku, można już było robić to bardziej profesjonalnie. W ten sposób na peryferiach przemysłu muzycznego, w cieniu polskich oddziałów globalnych koncernów, zaczęły powstawać niezależne oficyny: eksperymentalna OBUH Records,

jazzowo-yassowe Biodro, rockowo-alternatywne S.P. Records, specjalizująca się w hip-hopie R.R.X i inne. Rozwój technologii w nowym wieku – przede wszystkim dostęp do taniego sprzętu oraz łatwość promocji i dystrybucji w sieci – sprawił, że takich wytwórni powstało jeszcze więcej. Wszystkie łączyła niechęć do podpisania cyrografu z branżą, a także brak znajomych grubych ryb pływających w mainstreamie i przede wszystkim pełna kontrola nad wszelkimi aspektami publikowania muzyki. Pełne DIY – Do It Yourself.

Z podobnych założeń wychodził Maciej Moruś vel Macio Moretti, kiedy w 2004 roku powoływał do życia Lado ABC. Był to owoc twórczego fermentu panującego na warszawskiej scenie – podobnego do tego, który kilkanaście lat wcześniej zainfekował Trójmiasto i w efekcie dał światu yass. „Spotkaliśmy się z Pawłem Szamburskim, który chciał wydać pierwszą płytę Meritum, a my akurat planowaliśmy wydanie remiksów Baaby, stwierdziliśmy więc,



Labo ABC

że lepiej założyć wspólną wytwórnię i wspierać się w działaniu” – wspominał Moretti. To człowiek, który swoją płodnością mógłby zawstydzić niejednego królika: muzyk, producent, grafik, promotor, organizator i ***spiritus movens*** niezliczonych przedsięwzięć. Założenie własnej wytwórni potraktował jako logiczny krok na muzycznej drodze. Najpierw było Zgniłe Mięso Records, później – Lado ABC. „Wtedy wszyscy bali się wydawać tzw. muzykę niezależną” – czytamy na stronie internetowej – „Teraz jest jeszcze gorzej, ale właściwie lepiej, bo nic nie musimy”.

Lado to po portugalsku „strona”, tak jak strony A i B na kasecie magnetofonowej czy płycie winylowej. W przypadku warszawskiej wytwórni dochodzi jeszcze strona trzecia, co ma podkreślić niezależność i nieszablonowość przedsięwzięcia. Nazewnictwo przekłada się też na gatunkową klasyfikację artystów skupionych wokół labelu. Lado A celuje głównie w elektronikę, Lado B kładzie nacisk na szeroko pojęte granie gitarowe „od solidnej rockowej ballady a la Beata Kozidrak po brutalny grindcore w stylu Manowar”, zaś w Lado C dominuje brzmienie akustyczne i improwizowane, jazz, muzyka filmowa oraz „piosenki o małej biedronce i jej domku” (oficjalna witryna Lado jest pełna takich humoresek – polecam przejrzeć archiwum niusów na www.ladoabc.com »). Podział zdążono już rozszerzyć o kolejne segmenty: SB, D (dvd), i 7 (winylowe siódemki). Szufladki są jednak umowne, względne i nieprecyzyjne, bo w szeregach Lado funkcjonuje wielu artystów, którzy przekraczają gatunkowe ramy, często w śmiały sposób.



Levity
Riff '49

Przykładów takich muzycznych transgresji jest wiele. Ot, choćby trio Levity, którego członkowie zasilali niegdyś składy takich grup jak Pink Freud czy Wojtek Mazolewski Trio/Quintet. Zaczynali od konwencjonalnego jazzu, by w krótkim czasie dokonać bezparadonowej i jednocześnie pełnej szacunku dekonstrukcji Chopina na podwójnym albumie ***Chopin Shuffle*** (w jego nagraniu wziął udział m.in. słynny japoński trębacz Toshinori Kondo). Na wydanej przed dwoma laty płycie ***Afternoon Delights*** członkowie Levity zaprezentowali nieprzewidywalną mieszankę jazzu, post- i punk-rocka, muzyki etnicznej, ambientu oraz elektroniki. Wszystko nagrane na setkę – żadnych powtórek, dogrywek ani studyjnego retuszu. Dla muzyków związanych



Levity



Marcin Masecki

z Lado ABC świętością nie jest bowiem ani jazz, ani tak zwana klasyka, zaś estetyka usterki to stały i nieodłączny element twórczej materii. Dobitnie przekonują o tym dokonania Marcina Maseckiego.



Marcin Masecki

Polonezy

Ten klasycznie kształcony pianista rozpoczął naukę gry na instrumencie w wieku trzech lat. Jako dwunastolatek miał już na koncie jam session w słynnym Akwariu Jazz Club. Cztery lata później grał z Andrzejem Jagodzińskim jak równy z równym. Dziś Masecki ma 31 lat, dziesiątki kolaboracji w życiorysie, półkę prestiżowych nagród, a także opinię nowego Komedy (nie tylko ze względu na flirt z muzyką filmową). Jest przy tym zaprzeczeniem akademickości – chodzi w dresach, ma poczucie humoru, a w wywiadach otwarcie mówi, że muzyka poważna nie istnieje, chyba że na festiwalach dla

emerytów. Na tym nie koniec – choć Masecki jest muzykiem totalnym, obdarzonym znakomitą warsztatem i wprost genialnym wyczuciem klawiatury, rzadko epatuje techniczną perfekcją. Przeciwnie – realizując założenia estetyki usterki, celowo stosuje błędy i świadomie podkreśla potknięcia. Tak jak w grupie o przewrotnej nazwie Profesjonalizm, której muzyka brzmi niczym spontaniczny jam lub próba, która (pozornie) wymknęła się spod kontroli.



Profesjonalizm

Drugi

Na ***Polonezach***, swojej ostatniej, wysoko ocenianej płycie solowej, Masecki odświeżył formę od dawna martwego tańca narodowego, odtwarzanego dziś już chyba tylko na studniówkach i recitalach Chopina. Polonezy Maseckiego, wykonane przez dziesięcioosobową orkiestrę dętą, zostały skomponowane w zgodzie z klasycystycznymi

metodami, ale urozmaicono je nawiązaniami do hip-hopu, samby i jazzu oraz – rzecz jasna – kontrolowanym chaosem. Wcześniej Masecki reanimował Bacha, w charakterystyczny dla siebie nietypowy sposób – płyta **Die Kunst Der Fuge** została nagrana na stary dyktafon kasetowy, co autor wytłumaczył w obrazowy sposób: „Nagrany na szumiący dyktafon fortepian staje się innym instrumentem. Szum taśmy i naturalna kompresja stwarzają matową szybę, zza której nie słychać już wypolerowanego salonowca, „króla instrumentów”, tylko właśnie rzuca się w oczy szerszy kadr – taki, w którym lepiej widać strukturę całego utworu”. Te słowa doskonale oddają muzyczne strategie Maseckiego – nie tylko wobec Bacha.



Alte Zachen

אלה זאכן

Bacha przerobiła na swój sposób także Małgorzata Sarbak, młoda klawesynistka o wyjątkowo bogatym dorobku. Jako pierwsza w Polsce zrealizowała komplet **Partit klawesynowych** niemieckiego kompozytora. A przecież rewitalizacja klasyki nie ogranicza się do tak zwanej muzyki poważnej i zahacza też o brzmienia żydowskie. W takiej konwencji działa Cukunft, który opracowuje na nowo utwory semickich kompozytorów i przetwarza weselną muzykę żydowską z terenów dawnej Galicji. Jeszcze dalej idzie Alte Zachen (jid. „Stare Rzeczy”), który łączy chasydzkie niguny z rock’n’rollem, psychodelią i muzyką surferską. Nie bez powodu z okładki płyty **Total Gimel** (zaprojektowanej przez kontrowersyjnego izraelskiego rysownika Zeva

Engelmayera) uśmiecha się ubrany w skórzaną kamizelkę brodaty Żyd na desce surfingowej. Grupie udało się osiągnąć rzecz niebywałą: nawiązując do lat 60., przywrócili do życia muzykę obecną w historii już dwa wieki temu, a korzeniami tkwiącą w starożytności. Pomimo silnych związków i szacunku dla tradycji żydowskiej muzyka Cukunft i Alte Zachen stanowi odrębną, nowatorską estetykę. Jest też daleka od klezmerskiego kiczu.



Hubert Zemler

Moped

Przykłady można mnożyć. Symfoniczno-mathrockowy Hokei wyróżnia się nie tylko obecnością dwóch perkusistów, ale i tym, że na modłę Battles czy Unwound w Polsce nie gra prawie nikt. A jeśli już o perkusistach mowa, to nie sposób nie wspomnieć o Hubercie Zemlerze, który na płycie **Moped** stworzył własny, unikatowy wszechświat dźwiękowy za pomocą samych tylko bębnow. Jest jeszcze projekt LXMP (Macio Moretti i Piotr Zabrodzki),



Cukunft

który w całości przerobił **Future Shock** Herbiego Hancocka na syntezatory, perkusję i vocoder. Jest Efekt Moozgu, który elektronikę rodem z Warp Records łączy z growlingiem o metalowej proveniencji. Jest wreszcie Pictorial Candi, wokalistka ParisTetris, która solo łączy rytmy karaibskie z muzyką kameralną, brzmienie puzonów miesza z punkową szorstkością, a do tego wszystkiego gra na ebertonium candelarii – zaprojektowanym przez samą artystkę analogowym instrumencie polifonicznym, który emituje dźwięki za pośrednictwem żarówek. A to tylko kilku z blisko trzydziestu artystów nagrywających dla Lado ABC.



Pictorial Candi

Ode to Plethora

Pomimo dużej rozpiętości gatunkowej i oryginalności dokonań jej podopiecznych katalog wytwórni pozostaje spójny, bo płyty wydawane w jej barwach mają jeden wyrazisty

wspólny mianownik – absolutną wolność. Nie ma tu sztywnych podziałów, kurczowego trzymania się jednej konwencji czy jakiegokolwiek ograniczania twórczej swobody. To właśnie stanowi o eklektyzmie i wyjątkowości płyt wydawanych w barwach Lado. Myli się jednak ten, kto uważa, że niezależność i artystyczna autonomia muszą być tożsame z awangardą. Ciągoty do mainstreamu nie są przecież zupełnie obce przedstawicielom labelu, czego dowodem płyty Baaby oraz pełne pastiszu i świadomej gry z popkulturowymi kliszami dokonania Mitch & Mitch. Ten drugi projekt wystąpił w sierpniu na OFF Festival, gdzie wykonał uwspółcześniony repertuar z debiutanckiego albumu Zbigniewa Wodeckiego z 1976 roku. Zespołowi towarzyszył organista, kwartet smyczkowy, dwuosobowy chór i... sam Wodecki.

Parafrazując stare hasło promujące rewelacyjną płytę **Low** Davida Bowiego: jest mainstream, jest alternatywa i jest Lado ABC.

Maciej Kaczmarski



Mitch & Mitch & Wodecki

PREMIERY *filmowe*

#dokument #muzyczny

reż. Filip Dzierżawski

Miłość

Dawno w polskim kinie nie mieliśmy tak dobrego dokumentu o muzyce. Na nowo odkrywane są historie punk rocka, Jarocina i kultowych zespołów związanych z tym nurtem muzycznym. Jednak historia jazzu nie była często poruszana. Zdecydował się na to Filip Dzierżanowski, któremu udało się sfil-mować spotkanie po latach członków zespołu Miłość.

Tymon Tzymański, Mikołaj Trzaska, Leszek Możdżer, Maciej Sikala – wy-bitne postaci polskiej sceny jazzowej ponownie zasiadają w swoim kręgu, wyciągają instrumenty i grają. Na sty-ku osobistych upodobań i wspólnie odczuwanej radości z muzyki odrad-zają się spięcia i dysonanse, które doprowadziły do rozpadu Miłości przed kilku laty. Reżyser w doskonały sposób poprowadził narrację, wprowadzając do niej dużo świeżości. Tak, że po seansie ma się ogromną ochotę zapoznać z całym repertuarem Miłości.



#przygoda #sci-fi #Japonia

reż. James Mangold

Wolverine

Wolverine należy do najbardziej tajemniczych członków grupy X-menów. O jego przeszłości mówiono już wiele, lecz nadal pozostaje jeszcze mnóstwo sekretów do ujawnienia.

Twórcy nowej odsłony przygód Rosomaka nawiązali do komiksowej opowieści o tym, jak Logan uratował japońskiego oficera podczas bombardowania Nagasaki w czasie II wojny światowej. Po wielu latach, już na łożu śmierci, Yashida ma dla Logana propozycję nie do odrzucenia.

Film w reżyserii Mangolda oferuje nie tylko doskonale skrojoną akcję i widoki na bardzo umięśnioną klatkę Wolverina. Cała historia została umieszczona w japońskiej scenerii, oczywiście widzianej z perspektywy obcokrajowca. Nie umniejsza to jednak klimatu, który w połączeniu z samurajskimi walkami, robi całkiem przyjemne wrażenie.

#akcja #komedia geriatryczna

reż. Dean Parisot

Red 2

Od jakiegoś czasu modne stały się filmy przywracające dawne gwiazdy ekranu. W tym samym czasie powstawał *Red* i *Niezniszczalni*, oba poświęcone emerytowanym aktorom. Pierwszy z nich nie zdobył aż takiej popularności, jak drugi, ale i tak obsadą skłaniał do wizyty w kinie.

Twórcy kontynuacji znów postawili na znane nazwiska. Do zespołu Bru-



ce'a Willisa, Johna Malkovicha, Hellen Mirren i Mary-Louise Parker dołączyli Anthony Hopkins i Catherine Zeta-Johnes. Na uwagę zasługuje także Byung-hun Lee, południowokoreański aktor, który dopiero zaczyna karierę w Hollywood.

Cały film obsadą stoi. Fabuła i niektóre gagi są pretekstowe – tym, co jest najważniejsze, to możliwość oglądania sławnych, ale pokrytych już zmarszczkami aktorów.

#komedia #marihuana

reż. Rawson Marshall Thurber

Millerowie

Diler, striptizerka, lump i prawiczek – oto bohaterowie komedii, która nie urąga inteligencji widza. Jeśli tylko wcześniej ów widz przygotuje się psychicznie na to, co zobaczy w kinie.

Film można streścić bardzo krótko: pewien diler, Dave, ma pecha i zostaje okradziony z towaru i kasy. Musi odpracować dług u bosa i pojechać po nową dostawę do Meksyku. Aby wydawać się bardziej przekonującym na granicy, zatrudnia sąsiadów, aby odgrywali jego rodzinę.

Ta zbieranina zupełnie niepasujących do siebie typów osobowości okazuje się być petardą rozsadzającą wydawałoby się konwencjonalną komediijkę. Jest tu śmiesznie, czasami „świńsko” i rubasznie, a kłopoty pojawiają się praktycznie na każdym kroku. Mimo to obraz zmierza ku tradycyjnemu happy endowi. Dlatego jest tylko dobrym wakacyjnym poprawiaczem humoru.

Skala ocen:

God must have been a fuckin' genius

I just met a wonderful new man.
He's fictional but you can't have everything

My mum always said,
life is like a box of chocolates

I love you, honey bunny!

May the Force be with you

Too weird to live, and too rare to die

Coco Jumbo i do przodu

Huston, we've got a problem

**

Ja tu widzę niezły burdel

*

Albercik! Wychodzimy!



#komedia romantyczna #komedia francuska

reż. **Agnès Jaoui**

Książę nie z tej bajki

Nowy film twórców **Gustów i guścików**, kultowego już prawie filmu, bardzo daleko odchodzi od jego naturalnego opowiadania o uczuciowych meandrach. Scenarzyści skupili się na bajkowości i zbyt mocno weszli w schematyczne rozwiązania fabularne. Mimo że założeniem filmu było uwspółcześnienie znanych baśni (o Kopciuszu oraz Czerwonym Kapturku), to nie wychodzi on z niczym nowym i zwyczajnie nudzi. Ponieważ wszystko to już było... i to dawno, dawno temu.

Historia Laury, romantyczki marzącej o księciu z bajki, a spotykającej wilka w męskim przebraniu, została pokazana w ciężkostrawny sposób. Ten brak typowej francuskiej lekkości odpycha, a w najlepszym wypadku przyprawia o wzruszenie ramion – w czasie letniego sezonu kino obfituje w dużo lepsze produkcje.

#dramat #kryminał #film noir

reż. **Giuseppe Tornatore**

Koneser

Tornatore stworzył film o sztuce. O miłości do sztuki i samotności, jakiej ta miłość jest przyczyną. Ale od początku.

Virgil Oldman (Geoffrey Rush) jest sławnym znawcą dzieł sztuki, a przy tym przeraźliwie wyalienowanym, choć majątnym starszym panem. Pewnego dnia zgłasza się do niego tajemnicza Claire z prośbą o wycenę zbiorów jej zmarłych rodziców. Z początku oficjal-



na znajomość zamieni się w obsesję, a odkrywana przez Virgila kolekcja zaprowadzi go do zaskakującego finału.

Siłą filmu Tornatore jest świetne aktorstwo, nie tylko G. Rusha, ale także młodej Sylvii Hoeks, wcielającej się w postać Claire. Partnerują im Donald Sutherland, którego broda staje się coraz bardziej imponująca, oraz Jim Sturgess. Natomiast zakończenie filmu nie jest lekkie, ale z pewnością nie zawiedzie wymagających widzów.

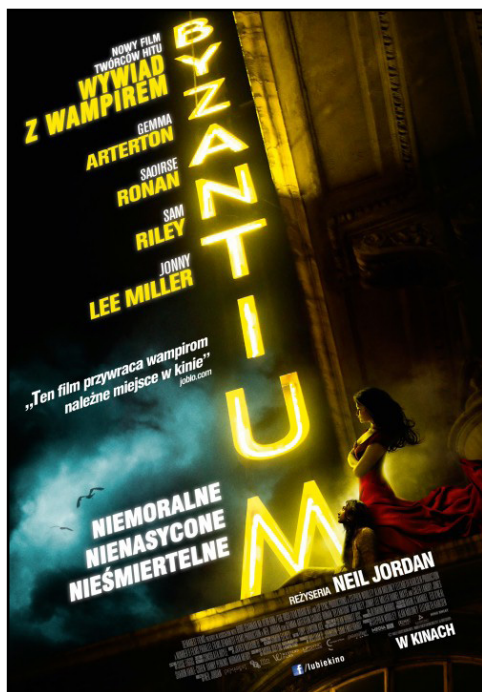
#thriller #fantasy #wampiry

reż. Neil Jordan

Bizancjum

Bizancjum nie jest klasycznym filmem o wampirach. Z pewnością nie nawiązuje do ostatniej fali wampirycznych opowieści dla nastolatków spod znaku **Zmierzchu**. Neil Jordan, jako twórca kultowego **Wywiadu z wampirem**, miał pełne prawo zabrać się na nowo za temat krwiopijców i pokazać go od nieco innej strony.

Chociaż **Bizancjum** nie ustrzegło się kilku potknięć reżyserskich (za długi i miejscami zbyt monotony), to czaruje pięknymi ujęciami (Saorise Ronan w czerwonej bluzie z kapturem na tle wzburzonego morza). Poza tym gdyby wyjąć z niego motyw wampirów, byłby to film o dwóch kobietach, które w kompletnie odmienny sposób radzą sobie z życiem. I choć twórcy mają ciekawy pomysł na powstawanie nowych wampirów, to film nie spodoba się zwykłym zjadaczom popcornu.



#akcja, komedia kryminalna #komiks #sci-fi

reż. **Robert Schwentke**

R.I.P.D. Agenci z zaświatów

Agenci z zaświatów nie mieli łatwej roboty do wykonania. Pojawili się na ekranach w najmniej odpowiednim momencie, w otoczeniu **wakacyjnych blockbusterów**. Do tego scenarzystom zabrakło inwencji, aby znane popkulturowe motywy pokazać w nietypowy sposób.

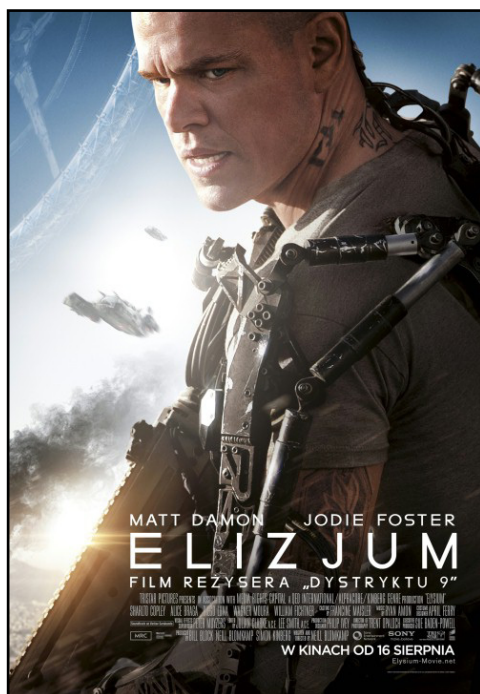
Film Schwentkego opowiada historię policjanta Nicka, który po śmierci trafia w zaświaty. Tam dostaje możliwość wstąpienia w szeregi Wydziału Spraw Wiecznych i partnerowania XIX-wiecznemu szeryfowi o imieniu Roy. Choć do tych ról zostali zaproszeni Ryan Reynolds oraz Jeff Bridges, duet w ich wykonaniu nawet do pięt nie dorasta chociażby agentom z **Facetów w czerni** (mimo że ewidentnie do nich nawiązuje). Całości nie ratują drętwe dowcipy czy efekty specjalne – ten film jest po prostu słaby.

#akcja #sci-fi

reż. **Neill Blomkamp**

Elizjum

Co robi reżyser, który stworzył genialny film za niewielkie pieniądze i zdobywa olbrzymią sławę? Dostaje angaż do Hollywood, bierze wielką kasę i robi kolejny film. O tym, jak ten film będzie wyglądał, decyduje wiele czynników. Na ile kompromisu poszedł Blomkamp, musi się każdy widz zastanowić samemu. Dla jednych wyznacznikiem jakości tego reżysera pozostanie **Dyskrykt 9**. Innym zaimponują efekty specjalne



i niewymagający zbyt wiele scenariusz **Elizjum**.

Blomkamp w obu filmach zastosował podobny zabieg – nierówności społeczne, budzące sprzeciw sprawiedliwych. I choć poukrywał w fabule wiele ciekawych wątków, nikną one przytłoczone zgiełkiem hollywoodzkiego efekciarstwa. Szkoda zmarnowanego potencjału, który ten obraz niósł ze sobą na poziomie zapowiedzi, ponieważ w finale zawodzi większość oczekiwań.

#fantasy #przygodowy #ekranizacja

reż. Harald Zwart

Dary Anioła. Miasto Kości

Ten film ma doskonały target, ponieważ osoby, które pierwszy raz zetknęły się z jego książkowym pierwowzorem, wydanym sześć lat temu, właśnie osiągnęły pełnoletność. Dla nich to idealny moment, aby wybrać się na ekranizację. Dzieła Cassandry Clare nie wzbudziły jednak takiej fali nabożnej czci, jak np. **Zmierzch**, ale były ciekawą odskocznią od bladego związku Belli i Edwarda.

Nie da się ukryć, że twórcy filmu niemiłosiernie poszatkowali materię książkową i pokazali, że ich własna inwencja twórcza nie zna granic. Z fabuły oryginału pozostał tylko szkielet, obudowany dość atrakcyjnymi efektami, oraz bohaterowie, zagrani przez plejadę młodych hollywoodzkich gwiazd. Czy to jednak wystarcza? Może, jeśli jest się młodą fanką/młodym fanem fantastyki i nie zna się tej historii w oryginale.

Opracowała: Karolina Joisan



Obowiązkowe *seanse filmowe*

Ten osobny tekst poświęcam filmom, które nie mieszczą się w standardowych kryteriach oceniania. I to z kilku powodów. Ze względu na reżysera, temat, który podejmuje, lub sposób wykonania. Nie będzie gwiazdek i przekonywania czy warto, czy nie. Te filmy po prostu trzeba poznać.

#dramat #słodko-gorzka komedia

reż. Woody Allen

Blue Jasmin

Nie przepadasz za filmami Woody'ego Allena? Nie przejmuj się – jego nowy film to zupełnie inna liga niż **Zakochany Rzym** czy **O północy w Paryżu**. W **Blue Jasmin** jest więcej krytycyzmu, choć pokazanego przez zasłonę humoru i groteski, oraz skupienia na bohaterach, przeżywających najprawdziwsze udręki. Wielu krytykom już po pierwszych seansach rzuciło się w oczy niezbyt mocno skrywane nawiązanie do sztuki Tennessee Williamsa **Tramwaj zwany pożądaniem**. Jednak Allen nie jest typem reżysera, który po prostu zrzuca z innych twórców. Jeśli coś go inspirowało, to potrafi to w sposób pełen inwencji przepuścić przez pryzmat swojej osobowości. Co właśnie ma miejsce w przypadku **Blue Jasmin**.

Główna bohaterka, grana przez Cate Blanchett, jest neurotyczną mieszkanką Nowego Jorku, która traci dotychczasowe życie w wyniku kryzysu (jej mąż trafia za kratki i popełnia samobójstwo). Poziom życia



ulega drastycznej degradacji, choć nie chce tego przyznać sama przed sobą, na własność nie posiada nic oprócz ubrań. W tej sytuacji musi udać się do swojej przyrodniej siostry Ginger, mieszkającej w San Francisco. Właśnie na zderzeniu tych dwóch osobowości z kompletnie odmiennych światów oparty został scenariusz Allena. Przyzwyczajona do zbytku, posłuchu i wywyższania się nad innymi Jasmine do szału doprowadza wszystkich, z którymi musi pomieszkować. Ze szklanką alkoholu w jednej i pigułką na uspokojenie w drugiej ręce peroruje o dawnej świetności i nie dociera do niej, że inni w ogóle jej nie słuchają.

Allen z typowym dla swoich wcześniejszych filmów zacięciem opisuje współczesny świat bogaczy. Dzisiejsze relacje międzyludzkie nie opierają się już na pożądaniu cielesnym, ale materialnym – ile druga osoba jest mi w stanie zaproponować. Zaś postać Jasmine, tak świetnie zagrana przez Cate Blanchett, pokazuje iluzoryczność takiego życia.

#komediodramat

reż. Jordan Vogt-Robert

Królowie lata

Debiut na festiwalu Sundance to zawsze duże wyzwanie i wyróżnienie. Jednocześnie filmy honorowane na tym festiwalu nie zawsze dostają się do szerokiej dystrybucji. Vogt-Robertowi udało się – jego obraz będzie można obejrzeć prawie w każdym kinie. I to nawet u nas, w Polsce. Dlaczego warto wybrać się na seans z *Królami lata*?

Oprócz tego, że film nawiązuje do nurtu inicjacyjnego i postawić go można w rzędzie z takimi tytułami, jak *Stań przy mnie*, *Koniec niewinności* czy *Chłopczy świat*, jest w nim nuta



nostalgii za czasami, gdy nie dominowały komputery i empetrójki. Widać, że reżyser skupił się na tym, aby bohaterzy mieli możliwość doświadczyć nie tylko wolności, ale i kontaktu z naturą (jakkolwiek patetycznie to brzmi). Tym co ich popycha do ucieczki od cywilizacji, wcale nie jest jakieś wzniosłe uczucie, ale prosta chęć ucieczki spod troskliwych skrzydeł rodziców. Ci zostali przedstawieni jako przesadnie nadopiekuńczy, niepozwalający swoim synom choćby na wybór koloru koszuli noszonej do szkoły.

Natomiast wchodzący w okres pokwitania chłopcy, Joe i Patrick, pragną niezależności i poszanowania ich własnych sądów. Postanawiają uciec, zamieszkać w lesie, wybudować drewniany domek i nie golić dopiero co kiełkującego zarostu. Przyłącza się do nich Biaggio, zupełnie oderwany od rzeczywistości chłopak, który mimo wszystko doskonale wpasowuje się w tę przygodę. Będzie tym członkiem zespołu, który wprowadza element szaleństwa w tę wakacyjną historię. Nie zabraknie też dziewczyny, która okaże się, jak zawsze, przedmiotem zazdrości.

Tę, wydawałoby się, banalną opowieść o dorastaniu, Vogt-Rober potrafił zbudować w zupełnie niespodziewany, delikatny sposób. Sylwetki rodziców stoją u niego bardzo blisko tych znanych z ***Moonrise Kingdom*** Wesa Andersona – neurotyczni, przesadni a jednocześnie wycofani, pełni sprzeczności. Doskonale wykreowani przez Marca Evana Jacksona, Megan Mullally oraz Nicka Offermana, którego one-linery fana Star Treka kontrastują z godną postawą ojca.

Reżyser ma także smykałkę do oprawy muzycznej, czyli czegoś, co



pokolenie wychowane na YouTube docenia najbardziej. Ten numer doskonale oddaje klimat filmu:



The Orb feat. Lee Scratch Perry *Golden Clouds*

#dramat #kino festiwalowe

reż. Felix Van Groeningen

W kręgu miłości

Film *W kręgu miłości* powstał na podstawie sztuki Johana Heldenbergha, który też zagrał w niej główną rolę. Spektakl zdobył rozgłos w Niderlandach i dlatego Van Groeningen postanowił przenieść go na wielki ekran.

Didier i Elise poznają się na koncercie, na którym on gra i śpiewa, a ona podchodząc powoli do sceny, zakochuje się w nim z wzajemnością. I jest to miłość totalna. Miłość dwojga odludków, którzy mogą żyć bez reszty świata, ale nie bez siebie nawzajem.

Reżyser w budowie narracji zastosował zabieg znany widzom filmu *Blue Valentine*: w dojrzały już związek wkrada się zwątpienie i choroba córeczki. Przeplatane scenami rozkwitu miłości tym większy smutek wprowadzają w tę historię. Oprócz tego porównania przychodzi na myśl także film *Zakochany bez pamięci*, z motywem szaleńczego zakochania oraz późniejszego wypierania wszystkiego, co było.

Jednak najważniejszym elementem filmu jest muzyka. Tak jak w *Once*, głównych bohaterów łączy miłość do muzyki. A dokładniej – do muzyki bluegrass. To amerykański styl, wywodzący się z country, ale czerpiący przede wszystkim z tradycji szkockich,



irlandzkich i angielskich osadników. Wiodącym motywem zespołów bluegrassowych jest improwizacja, opierająca się na znanych motywach ballad. Muzycy mają wykazywać się na scenie wirtuozerią i niepodrabialnym stylem. Kluczowymi instrumentami dla bluegrass są banjo, mandolina, skrzypce, gitara i kontrabas. Oraz oczywiście – charyzmatyczny wokalista.

Takim intrygującym wokalem pochwalić się może Didier, i to przyciąga do niego Elise. W pewnym momencie zaczynają nawet wspólne występy. Mimo tej obopólnej fascynacji żar uczucia w zderzeniu z twardą rzeczywistością nie wytrzymuje. Jednak to sprawia, że ta miłość wydaje się taka prawdziwa, że widz zaczyna marzyć, aby choć raz w życiu poczuć coś podobnego.

Przygotowała: *Karolina Joisan*

Czytasz za darmo?

Wyślij SMS-a

Nie mamy nic przeciwko darmowemu przesyłaniu znajomym numerów naszego pisma! Jeśli jednak posiadasz ten numer z takiego źródła, a uważasz, że jest on wart swojej ceny - zapłać ją! **To tylko 1.23 zł**, a pozwala nam kontynuować i rozwijać naszą działalność.

Wyślij **HPAY.ALTERPOP** na numer **7155** (1.23 zł)



Dziecko, śmierdzisz śmiercią

#dramat #psychologia #nazizm

Nasi sąsiedzi zza zachodniej granicy nie boją się poruszać wstydlivych kwestii dotyczących przeszłości Niemiec. Wystarczy wspomnieć o takich produkcjach, jak **Upadek** (2004), **Sophie Scholl – ostatnie dni** (2005), czy **Życie na podłuchu** (2006), aby uwierzyć w ich zdolność do krytycznego osądu własnej przeszłości. W 2012 roku za sprawą koprodukcji niemiecko-australijsko-brytyjskiej hitlerowskie Niemcy odstąpiły przed nami kolejną, nieznaną dotychczas twarz. Jest to twarz Lore, młodziutkiej Niemki, która niespodziewanie, wraz ze śmiercią Führera, traci obojga rodziców i bierze całkowitą odpowiedzialność za czwórkę młodszego rodzeństwa.

Twórcy **Lore**, za pomocą pięknych zdjęć oraz niezwykle „ruchliwej” kamery, zdają się krzyknąć: To prawda! Po niespodziewanej klęsce narodu i śmierci wodza ludność niemiecka doświadczyła dokładnie tego, co pokazujemy! Na szczęście dzieło Cate Shortland zmierza przede wszystkim w stronę „psychologicznej wiwisekcji” głównych bohaterów. Nie stara się za wszelką cenę mówić w imieniu całego społeczeństwa. W sposób pozbawiony nachalności akcentuje natomiast powszechnie panujące nastroje. Wiara w Adolfa Hitlera i jego idealizacja, pogarda dla Żydów, narcyzm i chłód uczuciowy Niemców to wszystko znajduje w **Lore** swój wyraz w postaci spojrzeń, gestów i la-

konicznych wypowiedzi bohaterów. Niosąca w sobie ciężar nazistowskiego wychowania Lore posiada takie same



reż. Cate Shortland

Lore



ideały, jak zdecydowana większość ludności niemieckiej tamtej epoki. Gardzi młodym Żydem, który wyciąga do niej pomocną dłoń. Z czasem przechodzi jednak wyraźną przemianę.

Shortland od pierwszej do ostatniej sceny filmu konsekwentnie obrazuje utratę niewinności tytułowej bohaterki. Lore ma za zadanie dotrzeć wraz z rodzeństwem do oddalonego o kilkaset kilometrów domu babci. Podczas podróży, której stawką jest życie, staje się świadkiem zabójstw i gwałtów. Obrazy te wywołują wstrząs u młodej dziewczyny i pozostawiają ślad, którego nic nie jest w stanie zmyć. Lore stopniowo traci radość życia, wiarę, a w końcu i niewinność, jeszcze niedawno tak mocno w niej zakorzenione. **Lore** nie przynależy jednak do kina neonazistowskiego. Przedstawia Niemców jako winnych cierpienia innych narodów, ale nie przekłamując historii, obrazuje też cierpienie „dzieci” Hitlera, spowodowane śmiercią „ojca”

i przegraną w wojnie. Błędy pokolenia, które aktywnie opowiedziało się za narodowym socjalizmem dotknęły przede wszystkim generację głównej bohaterki. To właśnie Lore musi rozprawić się z kłamstwem i zbrodnią, którą popełnili jej rodzice.

Autentyczności obrazu dodają zdjęcia Adama Arkapawa. Trudno zapomnieć widoku bosych, niemal czarnych stóp nastoletnich bohaterek. Jeszcze trudniej nie zwrócić uwagi na powtarzające się zbliżenia nóg dzieci, pokonujących kilometry błotnistych terenów, po to tylko (lub aż po to), by przeżyć. Prawie pod sam koniec tej wędrówki mężczyzna, któremu Lore w akcie desperacji postanawia się oddać, szepcze do ucha bohaterki: „Dziecko, śmierdzisz śmiercią”. Dzięki świetnej grze aktorów, a w szczególności Saskii Rosendahl, odtwórczyni głównej roli, możemy niemal poczuć ten zapach, który zwiastuje zagładę.

Agnieszka Młynarczyk



Czy heroiniści to kapitaliści?

Trainspotting oczami marksistowskiego krytyka

Powstał w 1995 roku brytyjski film na motywach powieści **Irvine'a Welsha** uchodzi za dzieło kultowe. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że opowieść o grupie edynburskich narkomanów jest jednym z najbardziej jaskrawych przykładów **krytyki systemu kapitalistycznego**.

Dla zachodnich filmoznawców **Trainspotting** jest przede wszystkim błyskotliwym popisem postmodernizmu i – poniekąd – ostrzeżeniem przed zgubnym skutkiem zażywania narkotyków. Jednakże uważny, obeznany z teoriami marksistowskimi widz z łatwością dostrzeże, że film stanowi bezlitosną drwinę ze społeczeństwa konsumpcyjnego. Jest to ten rodzaj krytyki, który nie wikła się w skomplikowane metafory, lecz wyklada swoje racje niemal bezpośrednio. Czy jest to krytyka świadoma czy niezamierzona – to już nie ma większego znaczenia. Przyjrzyjmy się bliżej konstrukcji i fabule filmu Danny'ego Boyle'a.

Od samego początku zostajemy niemal dosłownie uderzeni wizją zepsutego świata zachodniego. Film otwiera sekwencja ucieczki głównych bohaterów przed ochroną sklepu, gdzie próbowali dokonać kradzieży. Wszystko odbywa się w rytm głośnego rock'n'rolla – typowo

wego dla społeczności burżuazyjnych, niebawale inwazyjnego środka wyrazu o wątpliwych wartościach artystycznych i bulwersującym przekazie gloryfikującym rozwiązłość, agresję oraz nadużywanie alkoholu i narkotyków



reż. **Danny Boyle**
Trainspotting

(nad wyraz trafnej analizy rock'n'rolla dokonał Lucjan Czerwoniec w eseju **Hipnoza hałasu: studium nad rolą muzyki rozrywkowej we wczesnym kapitalizmie**, Państwowy Instytut Myśli Karola Marksa, Warszawa 1969). Autorem piosenki pod znamienym tytułem **Lust For Life** (ang. „Żądza życia”) jest niejaki Iggy Pop, heroinista i sodomita, gwiazdor amerykańskiego odłamu nurtu punk, będącego w pewnym sensie rock'n'rollem do kwadratu – wszystko jest tu jeszcze bardziej uproszczone i zbrutalizowane, a esencja tych amelodyjnych, kakofonicznych kompozycji opiera się na skrajnie nihilistycznym haśle **no future**, co tłumaczy się jako „brak przyszłości”.



Iggy Pop

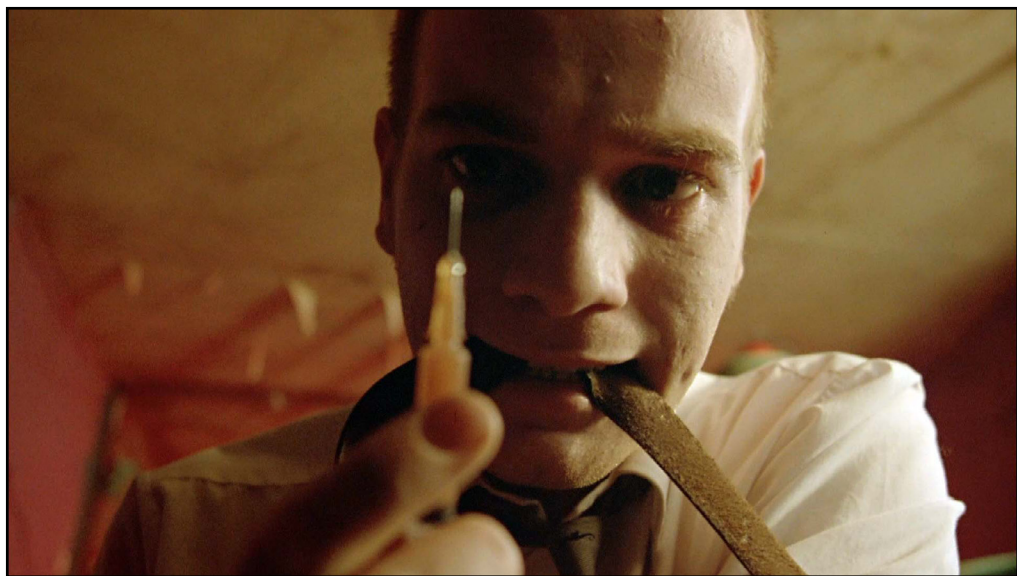
Lust for Life

Tak bawi się syte społeczeństwo konsumpcyjnego Zachodu, tak żyją

i funkcjonują bohaterowie **Trainspotting**. Centralną postacią jest Mark Renton, który już na samym początku wyklada swoją filozofię życiową: „Wybierz życie. Wybierz pracę. Wybierz karierę. Wybierz rodzinę, wybierz wielki telewizor, wybierz zmywarkę do naczyń, samochód, odtwarzacz płyt kompaktowych i elektryczne otwieracze do konserw. Wybierz zdrowie, zdrowe jedzenie, ubezpieczenie, kredyt o stałym oprocentowaniu, dom, przyjaciół, ubiór, torbę sportową, garnitur z bogatej oferty. Samodzielność, by się dręczyć, kim, do diaska, jesteś. Wybierz kapcie, gazetę, telewizor, niejadalną żywność, a i tak szejdziesz w zapłutym barłogu i w fetorze, który będą wachać twoje niedorozwinięte dzieci. Wybierz przyszłość. Wybierz życie. Po co? Ja dokonałem innego wyboru. Dlaczego? Ot, tak, po prostu. Dopóki mam heroinę, nie ma to żadnego znaczenia”.

Oto kwintesencja strategii życiowej promowanej w krajach o modelu wol-





norynkowym (w oryginale wyrażona w dosadniejszych słowach plugawego języka ulicy, czyli w slangu – formie typowej dla bikiniarzy, narkomanów i innych grup społecznych podejrzanej proveniencji). Gromadzenie dóbr materialnych ponad miarę, bezwstydny dobrobyt, nieczułość na niesprawiedliwość społeczną, bezwzględna rywalizacja zawodowa (niesławny **rat race**, czyli „wyścig szczurów”), rozpasane gadżeciarstwo oraz rozpusta sprzyjająca patologiom w postaci chorego potomstwa i fałszywych relacji rodzinnych, towarzyskich i społecznych, spowodowanych do wspólnego oglądania telewizji i zakupów w gigantycznych centrach handlowych. Renton z odrazą odnosi się do symboli burżuazyjnego życia i wyznaje, że zamiast tego wybrał heroinę (w domyśle: wolność od narzuconych z góry form konsumpcji). Nie zdaje sobie jednak sprawy, że przez uzależnienie od narkotyków nie tylko nie uciekł od kapitalistycznego modelu

egzystencji, ale osiągnął go w sposób przyspieszony i bardziej intensywny.

Trudno wszak o bardziej uzależniający środek odurzający, aniżeli heroina, trudno też nie dostrzec analogii pomiędzy sytuacją narkomana, a mentalnością obywateli państw kapitalistycznych. Jedni i drudzy są uzależnieni od wrażeń i wątpliwych atrakcji oferowanych im przez wolny rynek. Obydwie grupy są uwikłane w samoreprodukujący się ciąg nieposkromionej konsumpcji polegającej na nieustannym zaspokajaniu nawet najbardziej wyuzdanych potrzeb. Nie jest istotne, że w Szkocji, gdzie dzieje się akcja **Trainspotting**, heroina i inne narkotyki są zabronione – jak przyznaje Renton w jednej ze scen, jego matka (symbolizująca całe społeczeństwo) nadużywa valium, ale jest to społecznie akceptowane. To ważny sygnał dla widza, potwierdza bowiem, że nie jest to film o narkotykach, lecz o pewnych narkotycznych stanach mentalnych generowanych przez gigantyczny system





rozrywkowo-handlowy. Dodatkowej ironii dostarcza fakt, że heroina została zsyntetyzowana w epoce przemysłowej (1874 rok) przez brytyjskiego chemika C.R. Aldera Wrighta jako „cudowne” zastępstwo morfiny, zaś jej nazwa pochodzi od jej rzekomo „heroicznych” właściwości.

W pewnym momencie Renton postanawia porzucić nałóg. Aby wychodzenie z dependencji narkotykowej było lżejsze, aplikuje sobie opiumowe czopki, które traci na skutek biegunki w obrzydliwej scenie toaletowej, mieszczącej się w – to nie przypadek! – centrum gier hazardowych i zakładów sportowych. Bywalcy tego przybytku wprawdzie patrzą podejrzliwie na obdartego przybysza, ale nikt nie reaguje. Wszyscy są opętani wizją łatwego zysku, dokonującego się kosztem klas nieuprzywilejowanych. Nie dziwi więc,

że próba wyjścia z heroinowego ciągu kończy się porażką, a Renton rychło wraca do bumelanckiego stylu życia. Udaje się z przyjaciółmi do przypominającej dom publiczny dyskoteki, gdzie pary – nie zawsze heteroseksualne, o zgrozo! – wykonują nieobyczajne wybryki do głośnej, monotonnej muzyki (tak zwane techno, bodaj najbardziej odhumanizowany gatunek zachodniej muzyki, zob. Walerian Czapurny, ***Odmiennie stany nieświadomości: Brytyjska muzyka elektroniczna 1988-1998***, „Panika Tematyczna” 1999, nr 3(44)).

Obserwując pogrążony w transie, pijany i odurzony narkotykami tłum, bohater dochodzi do wniosku tyleż żartobliwego, co szalenie celnego z marksistowskiej perspektywy, a być może i proroczego: ostatecznym wynikiem takiego stanu rzeczy będzie występowanie samych onanistów, co

jest czytelną aluzją do alienacji – jednej z czołowych cech społeczeństw kapitalistycznych. Renton poznaje jednak młodą dziewczynę, która zaprasza go do swojego domu. Tam odbywają przygodny stosunek płciowy – bezpłodny i nie służący prokreacji, lecz szybkiej przyjemności. Jest to kolejny wyraźny symbol ukazujący funkcjonowanie relacji międzyludzkich w okowach kapitalizmu. Rano okazuje się zresztą, że dziewczyna jest nieletnia i nadal mieszka z rodzicami, których Renton bierze za jej współlokatorów. Moralność nie stanowi w tym systemie żadnej wartości, toteż Renton – pomimo płomiennych deklaracji – ponownie uwodzi nieletnią kurewkę i odbywa z nią kolejne zbliżenia. Po wszystkim palą razem haszysz i prowadzą jałową rozmowę o muzyce rockowej. W szyb-

kim świecie coraz to nowych podniet nie ma czasu ani potrzeby dyskusowania o istotnych aspektach życia, zwłaszcza społecznego.

Renton wprowadza w świat heroiny Tommy'ego, jedyne z tej paczki, który dotąd nie zażywał narkotyków. Dla niego jest to krótka i tragicznie zakończona zabawa – Tommy umiera na toksoplazmozę. W tym samym czasie umiera też prawdopodobnie zagłodzone dziecko narkomanów zamieszkujących obskurne, pozbawione mebli i sprzętów mieszkanie (co jest zgodne z otwierającą film filozofią życiową heroinisty). Potem następuje powrót do sekwencji otwierającej filmu, a więc ucieczki Rentona i jego kompana o pseudonimie „Spud” („Kartofel”). Obaj zostają schwytani i postawieni przed sądem, który w typowy dla ka-





pitalizmu sposób wydaje niesprawiedliwe (bo nierówne) wyroki: terapia dla Rentona i więzienie dla „Kartofla”. Renton ponownie zmuszony jest do odstawienia heroiny, w czym wspierają go bliscy, oczywiście w sposób charakterystyczny dla kapitalizmu: poprzez zastąpienie jednej podniety innymi.

Rzecz jasna, Renton znowu przegrywa walkę z nałogiem i tym razem nieomal przypląca to życiem – przedawkowuje heroinę w obskurnym mieszkaniu handlarza, którego pomoc ogranicza się do wepchnięcia nieprzytomnego człowieka do taksówki i nakazania kierowcy wyrzucenie go pod szpital. Rodzice zabierają Rentona do domu i urządzają areszt domowy, aby pomóc synowi w ostatecznym wyjściu z nałogu. Jest to jedna z najbardziej nieprzyjemnych sekwencji filmu – przeżywający koszmar odsta-

wienia bohater ma realistyczne halucynacje, w których występują jego znajomi i zmarłe dziecko. Dynamiczny, teledyskowy montaż ukazuje też telewizyjny kwiz dotyczący wirusa HIV. Renton zostaje poddany badaniom na obecność wirusa we krwi i wynik okazuje się negatywny. W celu uczczenia dobrej wiadomości Renton wybiera się z bliskimi do odpychającej speluny, w której odbywa się pijaństwo i gra na loterii. W społeczeństwie, w którym wszystko można kupić i sprzedać, nawet zdrowie okazuje się losem, który można wygrać lub przegrać.



Lou Reed
Perfect Day

Za radą nieletniej, którą wykorzystał (tak jak i ona wykorzystwała jego,

co tylko podkreśla symetrię moralnej zgnilizny, jaką przeziąknięta jest młodzież wychowana na kapitalistycznych antywartościach), Renton przeprowadza się do Londynu i w istocie realizuje to, od czego uciekał na początku filmu. Znajduje posadę w biurze obrotu nieruchomościami, otwiera konto w banku i żyje skromnie, lecz zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami egzystencji w społeczeństwie. Koresponduje z dziewczyną, która pewnego dnia pisze mu, że widziała „Kartofla”. W tym momencie następuje cięcie na tę postać leżącą na ulicy i mamroczącą niezrozumiałe słowa. Uważny widz usłyszy, że słowem, które wypowiada „Kartofel”, jest w istocie „money”, czyli pieniądze – jedyna słuszna wartość w zbiorowości nastawionej na konsumpcjonizm. Trudno uznać to za przypadek. Za pieniądze można kupić wszak wszystko, czego dusza zapragnie – w przypadku „Kartofla” jest to heroina, w przypadku bardziej uspo-

łeczniowanych jednostek społeczeństwa kapitalistycznego może być to równie dobrze telewizor, co samochód.

Tymczasem spolegliwe próby wpasowania się Rentona w zręby kapitalistycznej maszyny zostają przerwane przez pojawienie się niejakiego Begbiego, agresywnego alkoholika i psychopaty. Begbie jest poszukiwany za napad z bronią w ręku. W tym samym czasie w mieszkaniu Rentona pojawia się kolejny członek edynburskiej paczki narkomanów, czyli „Sickboy” („Chory”), który utrzymuje, że zajął się handlem narkotykami i stręczycielstwem. Wraz z „Kartoflem” zamierzają dokonać lukratywnej transakcji heroinowej, ale potrzebują do tego oszczędności Rentona, który musi przerwać abstynencję i przetestować „towar”. Cała czwórka spotyka się z kupcami w pokoju hotelowym i po krótkich negocjacjach heroina zostaje sprzedana. Bohaterowie idą do baru, gdzie świętują nieuczciwy zarobek i snują plany na temat



– a jakże! – wydawania pieniędzy. Plany te potwierdzają tylko schematy konsumowania i piętrzenia dóbr materialnych w krajach zachodnich. O poranku widzimy wszystkich, jak śpią w pokoju hotelowym. Renton budzi się i po cichu ucieka z torbą pełną pieniędzy. Świadkiem ucieczki jest „Kartofel”, który jednak dochowuje tajemnicy. Kiedy pozostali się budzą i odkrywają nieobecność Rentona i torby, Begbie w napadzie furii demoluje pokój, czym sprowadza na siebie policję. Renton zostawia „Kartoflowi” część pieniędzy w skrytce, sam zaś wyrusza w świat z mocnym postanowieniem normalnego życia. Można sobie jednak wyobrazić, co wyszło z tych obietnic, skoro zbudowane ufundowane są one na zdradzie, kradzieży i ucieczce.

Wszystko w **Trainspotting** jest obrzydliwe i znajduje się na granicy rozpadu – począwszy od ubrań i mieszkań postaci, aż po ich mózgi. Demoralizacja wylewa się falami z brudnych mieszkań i zaniedbanych twarzy. Usta bohaterów otwierają się tylko po to, by przyjąć narkotyk lub puścić soczystą wiązkę najbardziej wymyślnych przekleństw, ewentualnie żeby porozmawiać o popkulturze. Relacje międzyludzkie są sprowadzone do wspólnego przeżywania „odlotów” i bezrefleksyjnych rozmów o mało ambitnych, a często i perwersyjnych rozrywkach (jedna z par na ten przykład nagrywa na taśmę wideo swoją kopulację, a film oglądają później Renton i „Chory” – czy można wyobrazić sobie bardziej plugawą sprawę?). Wszystko to jest wpisane w mentalność obywateli typowego społeczeństwa kapitalistycznego, a **Trainspotting** ukazuje to w sposób

naturalistyczny. Jest to oczywiście film ze wszech miar obrzydliwy, wulgarny i po prostu zły, również pod względem formalnym – fatalnie dobrana ścieżka dźwiękowa, nerwowy i gorączkowy montaż, słaba gra aktorska i niesprawna reżyseria, itd. Jednak paradoksalnie tkwi w nim pewna wartość, którą z braku lepszego słowa można by określić mianem edukacyjnej.

Otóż lekceważąc tradycyjne walory sztuki filmowej i stawiając na bezrefleksyjną rozrywkę, obraz Boyle’a nieświadomie prezentuje swego rodzaju wywrotowy model twórczości, który miast wpisywać się w schemat, sabotuje jego podwaliny i tym samym zbliża się do sfery krytyki ideologicznych założeń nie tylko medium filmowego, ale i źródła, z którego się ono wywodzi. Źródłem tym jest oczywiście system kapitalistyczny i w tym sensie twórcy **Trainspotting** sami podcięli gałąź, na której siedzieli – ukazując życie narkomanów bez odpowiedniego komentarza krytycznego, dokonali nieświadomej wiwisekcji całego kapitalizmu, pogrążonego w nałogu masowej konsumpcji. Danny Boyle powróci do tego tematu (zapewne znów nieświadomie) w filmie **28 Dni Później**, w którym obywatele są już nie narkomanami, lecz całkiem literalnie – zainfekowanymi wirusem agresji żywymi trupami. Trudno o bardziej trafną diagnozę kapitalizmu.

Maciej Kaczmarski

PREMIERY

książkowe

#fantastyka #literatura rosyjska

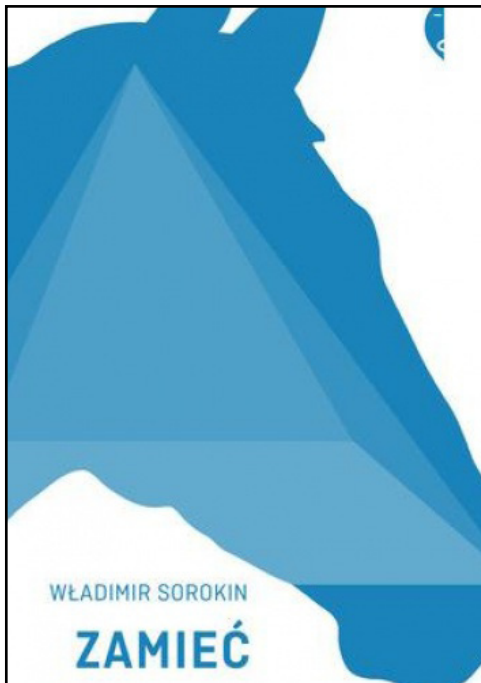
Władimir Sorokin

Zamieć

Wydawnictwo Czarne sięga po jednego z bardziej kontrowersyjnych rosyjskich twórców. Władimir Sorokin słynie ze swoich artystycznych eksperymentów literackich oraz swobodnej interpretacji historii. Teraz kilkakrotnie nagradzaną powieść Sorokina można czytać również po polsku.

Doktor Płaton Ilicz Garin próbuje dotrzeć do zapomnianej przez świat wsi, gdzie panuje tajemnicza epidemia. Wskutek choroby ludzie zamieniają się w krwiożercze zombie. Doktora czeka jednak droga przez syberyjską zamieć. Przez rosyjską zimę, śnieżny chaos, nieprzejezdne drogi, prowadzące donikąd. Dziwny, przerażający świat, jaki wyłania się ze śnieżycy, balansuje na granicy jawy i snu.

Droga doktora i jego lokalnego pomagiera jest jednak tylko tłem dla zwariowanej wycieczki po rosyjskim folklorze. Nawiązania do literatury rosyjskiej i do współczesnej polityki nadają powieści zupełnie nowy, symboliczny wymiar. Można w skazanej na porażkę misji doktora Garina doszukiwać się metafory Rosji. Można, ale czy trzeba?



#historia #polska

Andrzej Zieliński

Skandaliści w koronach

Nieznane szerszej publiczności fakty, skandale, ciekawostki. To one stanowią trzon historii według Andrzeja Zielińskiego. Po raz kolejny autor przygotowuje ucztę dla niejadków, czyli tych, co książki historycznej nie tkną nawet kijem. Tutaj od pierwszych stron historia polskich władców wciąga i pozostawia niedosyt.

Przemilczane w podręcznikach niewygodne fakty nijak pasują do wizerunku znanych w polskiej historii postaci. Tym bardziej intryguje, co jeszcze Zieliński wyszperał i czy naprawdę jest tak, jak pisze. A udało mu się dotrzeć do wielu ciekawostek. Czy św. Jadwiga rzeczywiście była święta? Jak Piastowie utrwalali swoją władzę? Kiedy na tronie Polski zasiadali geje oraz ile kosztowała korona królewska u papieża? Odpowiadając na te pytania, Zieliński odsłania czytelnikowi zupełnie nowe, nieznane dotąd oblicze polskiej historii.

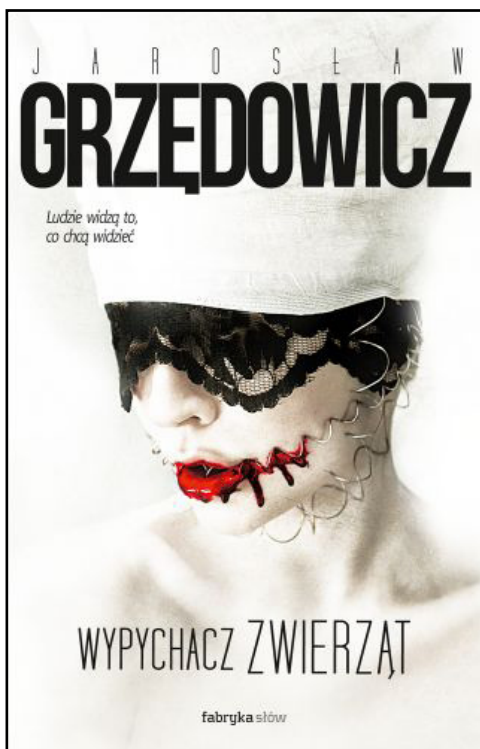
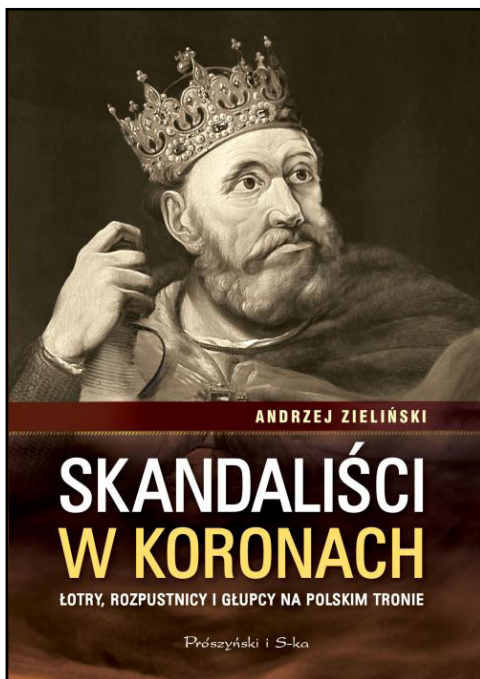
#fantastyka #horror #literatura polska

Jarosław Grzędowicz

Wypychacz zwierząt

Po długo oczekiwanej ostatniej części **Pana Lodowego Ogrodu**, fani Jarosława Grzędowicza mogą się cieszyć jeszcze jednym prezentem – nowym wydaniem zbioru opowiadań **Wypychacz zwierząt**. Książkę promuje specjalnie nakręcony **teaser**, w którym wprawne oko zauważy również samego autora.

Opowiadania zebrane w tym tomie już gdzieś kiedyś były publikowane.



Jednak reprezentują bardzo wysoki poziom, dlatego na pewno są warte przypomnienia. **Buran wieje z tamtej strony** zostało nagrodzone Sfinksem w 2005 roku, a **Wilcza zamieć** – nagrodą Zajdla.

W opowiadaniach przeplatają się wątki mistyczne, historyczne i lekko polityczne, autor czerpie m.in. z mitologii, dorobku znakomitych pisarzy fantastyki, a w rezultacie powstaje kilka świetnych opowieści z dreszczykiem. Do niektórych można wracać wielokrotnie i za każdym razem odkrywać coś nowego.

#romans

Nicky Pellegrino

Rzymska przygoda

Miasto słońca i uśmiechniętych ludzi, dobre jedzenie i piękne kobiety – idealna propozycja na lato. Lekkostrawna powieść o miłości, której bohaterka zakochuje się w gwiazdzie dużego ekranu. A może nie tylko w nim, lecz w bogactwie i przyjemnym życiu?

Młoda Serafina nie chce zarabiać jak jej matka – sprzedając swoje ciało. Niespodziewanie trafia do świata celebrytów i wielkich pieniędzy. Świat ten jest pełen pokus, obietnic łatwego życia, ale czy naprawdę tak jest?

Akcja powieści rozgrywa się we Włoszech lat 50., a jej najmocniejszym atutem jest sceneria – Rzym, Zatybrze, kuchnia włoska. Wątkowi miłośnemu brakuje nieco polotu, ale książkę się czyta lekko i szybko. **Rzymska przygoda** to wakacyjna lektura, która zagrzeje serce i zabierze czytelnika w podróż w czasie i przestrzeni.

Skala ocen:

Sto lat samotności

Miasto grzechu

Cień wiatru

Gra w klasy

Czas jest najprostrzą rzeczą

Moja walka...

Kronika sportowa

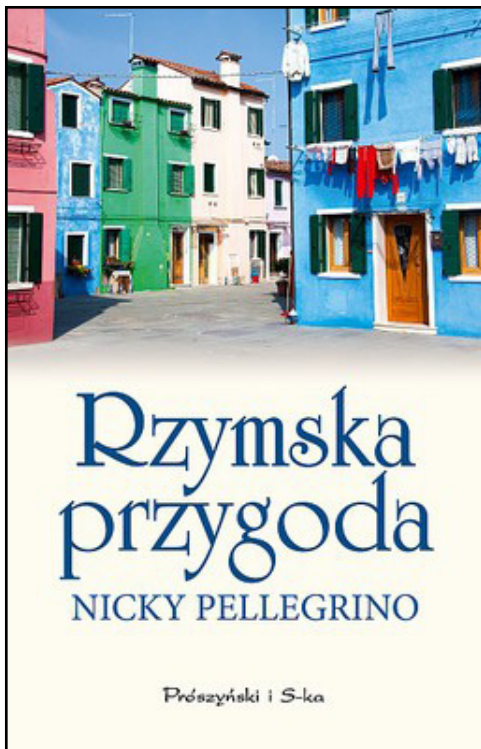
Paulo Coelho

**

Żegnaj laleczko

*

Czas pogardy



#powieść obyczajowa #literatura polska

Anna Piecyk

Matnia

Niektóre książki próbują poruszyć bardzo trudne tematy, lecz robią to w sposób zbyt prostoliniowy. Chwytem, który chyba najmocniej trafia w serce czytelników, jest cierpienie dzieci. W **Matni** autorka ucieka się właśnie do tego zabiegu: pisząc o problemie alkoholizmu, prezentuje zjawisko oczami dziecka.

Rysiek, Filip, Grażyna, Alicja i Tadeusz nie mają łatwego życia, ich dzieciństwo zostało zdominowane przez alkohol. W zasadzie nie mogą też mówić o dzieciństwie, ponieważ w bardzo młodym wieku musieli zacząć dbać i o siebie, i o swoich rodziców. Uświadamiają też, że nie podejmując żadnych kroków, ich dorosłe życie będzie wyglądać tak samo, jak ich rodziców. Czy wystarczy im sił, żeby wyrwać się z zakłętego kręgu?

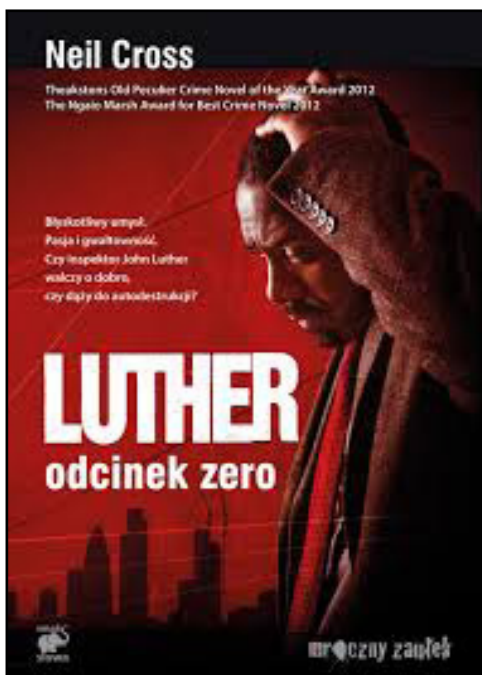
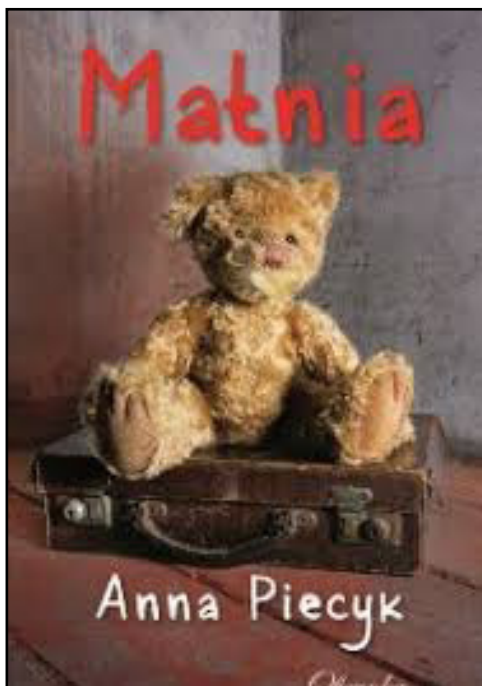
Alkoholizm to choroba przez wielu wciąż jeszcze uważana za styl życia. Za zamkniętymi drzwiami domów alkoholików rozgrywają się prawdziwe dramaty. Mimo wszystko, czytając **Matnię**, odnosi się wrażenie, jakby celem autora było manipulowanie czytelnikiem, a nie podsuniecie mu mocnego tematu do przemyśleń.

#kryminał #sensacja

Neil Cross

Luther. Odcinek Zero

Najlepszy policjant to taki, który chadza własnymi ścieżkami i nie ma życia prywatnego. Luther Neila Crossa dodat-



kowo posiada zwierzęcą intuicję oraz umiejętność łączenia faktów w sensowną całość. Dzięki temu jest jednym z najlepszych policjantów w londyńskim wydziale zabójstw.

Luther jest też beznadziejnym mężem i jeszcze gorszym ojcem. W momencie, gdy na świat pcha się jego własne dziecko, on próbuje rozwiązać zagadkę morderstwa pewnej rodziny. Czy dla sprawy warto poświęcić swoje małżeństwo? Czy ratując życie obcego dziecka, można zagłuszyć poczucie winy wobec własnej rodziny?

Luther. Odcinek Zero to nieźle skrojona powieść z użyciem prostego szablonu: genialny detektyw, filmowa akcja, dylemat moralny głównego bohatera.

Opracowała: *Ana Matusevic*

Profesjonalnie wydajemy książki, albumy, czasopisma.

WYDAMY CIĘ!

Outsourcing wydawniczy
Książki na cele charytatywne

www.ekwita.pl



Prawdziwa historia Nieumarłego

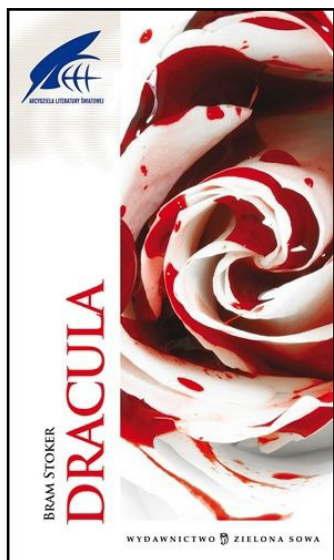
Z okładki magazynu „Rolling Stone” spogląda trójka rozneglizowanych aktorów. „Hot, sexy, undead” – czytam o postaciach serialu **True Blood**. Jednak prawdziwe oblicze Nieumarłego niczym nie przypomina przystojnego Aleksandra Skarsgarda. **Bram Stoker** zadbał o to, aby jego **Drakula** budził strach już samym imieniem.

Rok 1847. W jednym z wiktoriańskich szeregowców w Clontarf koło Dublinu przychodzi na świat człowiek, który na zawsze zapisze się w historii (pop) kultury. Uda mu się ubrać w słowa lęki i przesady, stworzyć postać inspirują-

cą przez długie dziesięciolecia. Jego Nieumarły rozpocznie długą ewolucję wampirów, które dziś przyciągają do kin i książek miliony widzów i czytelników.

Bram Stoker dał się poznać jako osoba o ogromnej energii i odwadze. Tym większe było zaskoczenie, gdy spod pióra wielkiego pasjonaty teatru i przyjaciela znanego aktora i reżysera Henry’ego Irvinga wyszła gotycka powieść w najlepszym stylu. I choć w gronie bliskich znajomych Stoker lubił opowiadać, że Drakula nawiedził go w niespokojnym śnie po zbyt obfitej kolacji, prawda jest zgoła inna. Już od wczesnego dzieciństwa fascynowały go budzące grozę podania ludowe i anomalie chorobowe.

W domu rodzinnym był jednym z siedmiorga rodzeństwa. Znał na pamięć opowieści matki o epidemii cholery w zachodniej Irlandii. Także o tym, jak w obronie przed szabrownikami matka ucięła jednemu z nich rękę. Z otwartymi ustami słuchał też wspomnień, jak razem ze zmarłymi chorymi zdarzało się grzebać żywych.



Bram Stoker

Drakula

Może się bał, ale tylko trochę. Bo widział już trupa.

Daleko chodzić nie musiał. Podziemia pobliskiego kościoła St. Michan słyną z niezwykłych właściwości: ciała w nich złożone nie ulegają rozkładowi, lecz naturalnej mumifikacji. Dreszczu dodaje też fakt, że nie grzebie się zmarłych w zamkniętych trumnach. Pozostawia się je otwarte, a w półmroku krypt nieboszczyki wyglądają jak pogrążeni w głębokim śnie.

Literacka siostra Drakuli

Wspomnienia te Stoker przywołuje pracując nad „wampirzą powieścią”, którą zapragnął napisać po przeczytaniu **Carmilli**. Choć powieść Josepha Sheridan Le Fanu wyprzedziła **Drakulę** o całe 25 lat, nie odniosła tak spektakularnego sukcesu. **Carmilla** opowiada o kobiecie, która staje się obiektem pożądania wampirzycy. Opowieść snuje lekarz – przedstawia czytelnikom interesujący przypadek ze swojej praktyki lekarskiej. Ten sam zabieg później zastosuje Stoker i powieść napisze w pierwszej osobie, w formie dzienników. Na tym podobieństwa się nie kończą. Carmilla Le Fanu i Lucy Stokera mają te same objawy po ugryzieniu przez wampira, w obu powieściach występują też „eksperci od wampirów”: Baron Vordenburg w **Carmilli** oraz doktor Abraham Van Helsing w **Drakuli**. Mało brakowało, żeby Stoker popełnił kolejną nieco romantyczną opowiastkę. Jednak na inny pomysł naprowadził go Arminius Vamberry, profesor z Uniwersytetu Budapesztańskiego.

Profesor Vamberry był gościem teatru, w którym pracował Stoker. Na jednym z przyjęć miał opowiedzieć kilka niesamowitych historii ze swojego pobytu na Bliskim Wschodzie.



Bram Stoker

Wspomniał też o Władzie Palowniku. Krwawa przeszłość księcia nasunęła Stokerowi myśl o połączeniu dwóch intrygujących wątków: podań ludowych o wampirach, które w Europie Środkowo-Wschodniej były wówczas dobrze znane, oraz postaci Palownika.

Nowa twarz rumuńskiego hospodara

Początkowo Stoker nie ma pomysłu na imię dla głównego bohatera swojej nowej powieści. „Hrabia Wampir” zostaje ochrzczony Drakulą w Whitby, małym miasteczku w północnym Yorkshire. Tutaj Bram Stoker spędza wakacje 1890 roku i przy okazji szuka w lokalnej bibliotece ciekawych faktów o Transylwanii. Trafia na książkę **An Account of the Principalities of Wallachia and Moldavia** Williama Wilkinsona, który wspomina o „księciu Drakuli”, walczącym z Turkami. Imię to

Wilkinson wywodzi z języka włoskiego i tłumaczy jako „diabeł”. Bram czuje, że jest to strzał w dziesiątkę.

Whitby zapisuje się w powieści Stokera nie tylko imieniem głównego bohatera. Tutaj rozgrywają się istotne wydarzenia, związane z przybyciem hrabiego Drakuli do Anglii. Na klifie, górującym nad miastem, znajdują się wiekowe ruiny klasztoru, otoczone pochylonymi od starości grobami, idealnie nadają się na scenerię gotyckiej powieści.

Pracując nad **Drakulą**, Stoker sięga do wielu źródeł: książek historycznych, podręczników akademickich, przewodników podróżniczych. Później wielu czytelników jest przekonanych, że autor czerpie z własnych wspomnień z podróży po Transylwanii. Ten z kolei nikogo nie śpieszy wyprowadzać z błędu.

Rok 1897. **Drakula** zbiera pozytywne recenzje, jednak nakład schodzi powoli. Trzęsienie ziemi nastąpi znacznie później. W 1924 roku na deskach teatru zostaje wystawiona pierwsza adaptacja autorstwa Hamiltona Deana. Spektakl podbija Londyn, gdzie grają

go kilkaset razy. Wokół wydarzenia panuje atmosfera skandalu – widzowie mdleją na sali, na plakatach pojawia się ostrzeżenie o zagrożeniu dla życia i zdrowia. Trzy lata później sztukę oglądają Amerykanie na Broadwayu. Od tego momentu przez długi czas Drakula będzie miał twarz Beli Lugosi, aktora urodzonego w Transylwanii. Sceniczna, a następnie filmowa kreacja przylgnie do Lugosiego do końca – dosłownie, bo po śmierci aktor jest grzebany we fraku hrabiego. Podobno ktoś z zebranych na pogrzebie spytał: „Czy nie powinniśmy dla pewności przebić jego serca kołkiem?”.

Na duży ekran Drakula trafia w 1922 roku. Friedrich Wilhelm Murnau kręci **Nosferatu**, dziś uważanego za klasykę horroru i filmu niemego. Niecałe sto lat później Drakula jest bohaterem co najmniej kilkudziesięciu ekranizacji i adaptacji filmowych. Niestety, Bram Stoker nie doczekał momentu, gdy świat odkrył jego powieść na nowo. Pisarz zmarł w 1912 roku w Londynie.

Ana Matusevic

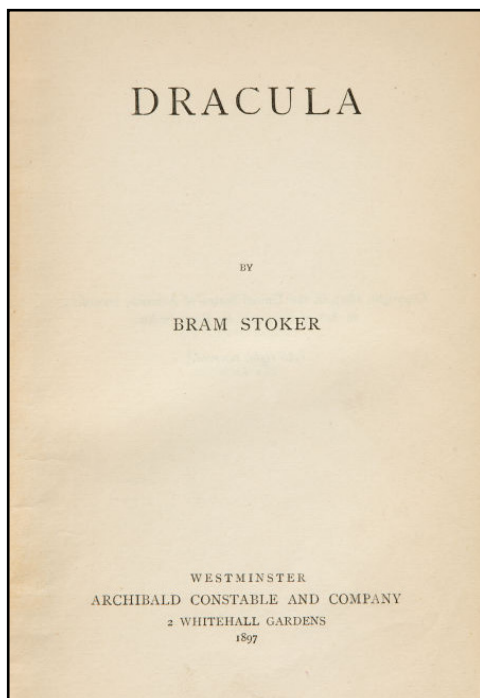


Śladami Drakuli

Do **Whitby** z głębi Anglii prowadzą kilometry krętej drogi, wrzosowiska aż po horyzont, gromadki owiec i pojawiające się z rzadka kamienne zabudowania. Miasteczko, malowniczo położone między klifami, liczy obecnie około trzynastu tysięcy mieszkańców. Jest miejscem nieustających wędrówek miłośników **Drakuli** Brama Stokera.

Pracując nad swoją najslynniejszą powieścią, **Bram Stoker** odwiedza Whitby raz, latem 1890 roku. Szczególnie fascynują go ruiny Whitby Abbey, klasztoru wybudowanego w XI wieku. Mroczne, ponure mury górują nad ujściem rzeki Esk. Stoker niejednokrotnie wybiera się na spacer po klifie, gdzie oczami wyobraźni widzi lunatykującą krętymi schodami Lucy. Potencjał tego niesamowitego miejsca nie może się zmarnować. W Whitby rozegrają się ważne dla fabuły powieści wydarzenia.

Dziś, ponad 120 lat później, w Whitby zmieniło się niewiele. Świadczą o tym bardzo dokładne opisy, umieszczone w powieściowym pamiętniku jednej z bohaterek. Z książką w rękę, jak z przewodnikiem, można wybrać się na spacer śladami Drakuli.



Bram Stoker

Drakula (wydanie z 1897 r.)



Z notatek Miny Murray

24 lipca, Whitby. Lucy wyjechała po mnie na stację. (...) Pojechaliśmy do domu przy Crescent, gdzie wynajmują pokoje. To urocze miejsce. (...) Domy starego miasteczka, leżącego w dość sporym oddaleniu, mają czerwone dachy i odnosi się wrażenie, jakby były poukładane jeden na drugim – zupełnie jak na rycinach z widokiem Norymbergi. Nad miasteczkiem górują ruiny Opactwa Whitby, splądrowanego niegdyś przez



Duńczyków; to w jego scenerii rozgrywa się ta część Marmionu, w której dziewczyna zostaje zamurowana w ścianie. Są wielkie i majestatyczne, pełne piękna i romantyzmu. Istnieje legenda, iż w jednym z okien ukazuje się Biała Dama.



Pomiędzy opactwem a miastem znajduje się kolejny kościół – parafialny – otoczony dużym cmentarzem z mnóstwem nagrobków. Moim zdaniem to najładniejsze miejsce w Withby, ponieważ leży nad samym miastem i roztacza się z niego widok na cały port i zatokę aż po wychodzący daleko w morze przylądek o nazwie Kettleness.



Pode mną rozciąga się port, na przeciwnym krańcu ograniczony wychodzącą w morze długą granitową ścianą, skracającą przy końcu na zewnątrz, w połowie której znajduje się latarnia morska. Od niej biegnie umocnione nabrzeże, a jego bliższy kraniec tworzy coś w rodzaju odwrótnie zgiętego łokcia, zaś na samym końcu stoi druga latarnia morska. Pomiędzy tymi dwoma pirsami znajduje się wąskie wejście do portu, które zaraz potem gwałtownie się rozszerza.



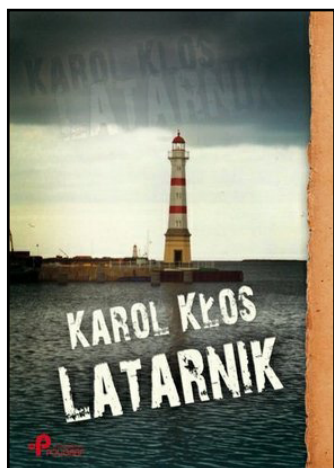
Najładniej jest podczas przyływu, bowiem kiedy jest odpływ, woda znika niemal zupełnie i pozostaje tylko Esk toczący swój nurt pomiędzy piaszczystymi brzegami, z których od czasu do czasu wyrastają pojedyncze skały.



1 sierpnia. Przyszłam tu godzinę temu z Lucy i odbyłyśmy niezmiernie interesującą rozmowę z moim leciwym przyjacielem i jego dwoma nieodstępującymi go na krok towarzyszami. (...) Naprowadziłam go na temat legend, a on natychmiast rozpoczął swoje kazanie. (...) „To gupoty, czyste gupoty i tyle! To, co się gada o tych całych kłótwach, znakach, duchach, straszidłach, to wszystko po to, żeby można było straszyć dzieci i gupkowate kobiety. Wszystko duby smalone! (...) Wszystko, co tu napisane, tak po pańsku, to zwykły kant; te kamienie aż się gną pod tymi łgarstwami. »Tu spoczywa ciało« albo »Świętej pamięci«; na każdym pisze coś takiego, a nawet w co drugim nikt nie leży; a o połowie tych, co leżą, ludzie to by woleli zapomnieć; gdzie im tam do świętości!”



Tekst i zdjęcia: Ana Matusevic, **cytaty z wyd. w tłum.** Marka Króla



fragment

Karol Kłós

Latarnik

Wydawnictwo Poligraf

042.

Teraz się nie dziwię, że w miastach ludzie nie znają się nawzajem. Jak tu zawierać znajomości gdy się po mieście jeździ samochodem. A tak właściwie, to należałoby się bardzo poważnie zastanowić, dlaczego w miastach jest tylekroć razy więcej samochodów niż we wioskach. Czy przypadkiem ilość miejskich pojazdów mechanicznych nie jest niepodważalnym dowodem dyskryminacji mieszkańców wsi. Czy mieszkańcy miast są bardziej zaradni, przedsiębiorczy, czy tylko bardziej leniwi. Znam takiego co sto metrów do kiosku nie może przejść pieszo. Wsiada do samochodu, objeżdża pół miasta ulicami jednokierunkowymi, kupuje paczkę papierosów, a potem się dziwi, gdy żona wymownie patrzy na zegarek. Gdy jesteśmy u nich z gościna, on zawsze coś dłubie w garażu. Nie ma czasu na życie towarzyskie.

Ewentualnie można poznać swoją sąsiadkę w korku ulicznym. Wiadomo, siedzi się kilka godzin w samochodzie stojącym na środku skrzyżowania, a dokoła rozgrzane od słońca blacharki. Więc by nie dostać bzika trzeba

gębę do kogoś otworzyć. Zaprzyjaźniasz się z rudą po prawej (w ekstremalnych warunkach o przyjaźń łatwo), razem oceniacie blondynkę z malucha przed wami, aż tu nagle się okazuje, że jesteście sąsiadkami od dziesięciu lat. Taka okazja kategorycznie domaga się zagrychy do czegoś mocniejszego, lecz jak tu zostawić pojazd bez opieki. Umawiacie się, że jedna pilnuje samochodów, a druga idzie po butelkę i przekąski. Najbliższy sklep jest obłożony przez rozwścieczonych kierowców. Zanim udaje ci się dotrzeć do lady i wrócić, zastajesz już puste skrzyżowanie, a twój nowy samochód zepchnięty do rowu. Od tej pory nie chcesz nowopoznanej sąsiadki widzieć na oczy. I jak tu się dziwić, że ludzie w miastach nie znają się nawzajem.

W optymistycznym wariantcie tej historii, wypijacie wino na tyłach sklepu. Wszystkie sklepy spożywcze mają takie miejsce. Najczęściej jest tam specjalny murek lub mur odgradzający od pojemników na śmieci. Ze względu na higienę, warunki sanitarne, warunki atmosferyczne i inne uwarunkowania,

takie miejsca są w różny sposób zabezpieczane przed szkodliwym wpływem pogody, brudu, bakterii, wirusów, kotów, oczu mężów, sąsiadów czy znajomych, na zdrowie pijących za sklepem osób. Pomimo, iż architekci stosują różne rozwiązania, nie udało mi się jeszcze nigdzie znaleźć na tyle ustronnego miejsca za sklepem spożywczym aby spełniało ono wszystkie normy i dyrektywy. Wcale nie twierdzę, że jedno wino na dwie to za wiele, ale mało to też nie jest. Dlatego następnie obje płacie mandaty za jazdę pod wpływem alkoholu. Mąż sąiadki robi ci grandę za upicie żony, twój mąż robi awanturę sąiadce. Nie chcesz więcej znać sąiadki, chyba że pijesz kawę w tym samym barze co ona. I jak tu się dziwić, że ludzie w miastach nie znają się wzajemnie. Z wyjątkiem piwoszów.

043.

No właśnie. Nasi piwosze mają się dobrze i ubierają ciepło. Niestety, nie wyjdzie im to na zdrowie. Nawet ciepłe ubrania nic tu nie pomogą. Wszystkim przecież wiadomo, że piwo szkodzi. Tak, moi kochani, piwo szkodzi. Po pierwsze: szkodzi na nerki. Coś niecoś mogą o tym powiedzieć lekarze. Bardzo to przykry widok gdy spotka się dobrego znajomego, z którym z niejednej beczki się razem jadło i morze piwa razem wypilo, który teraz do piwiarni musi taszczyć ze sobą wózek z zapasową nerką. To wcale nie jest śmieszne. Wielu chorych ludzi wolałoby nigdy nie tknąć piwa, by mieć zdrowe nerki. A te wieczne przeciągi w barach, pijalniach, winiarniach, herbaciarniach, kawiarniach, mleczarniach i innych miejscach serwowania piwa.

Po drugie: szkodzi na nogi. Wielogodzinne wystawanie pod sklepem

czy za kioskiem u wielu już dało się we znaki poprzez żylaki. A usiąść jak zwykle nie ma gdzie. Krzesła tam nie uświadczysz, nie mówiąc już o fotelu czy kanapie. Na parapecie sklepu lub krawężniku nie wolno siadać pod żadnym pozorem. Ostrzegam i stanowczo odradzam. Można dostać wilka. Nie wiedzieliście o tym? A przypomnijcie sobie swoje własne dzieciństwo, zabawy na podwórku, zwłaszcza wczesną wiosną, gdy słońko przygrzewało coraz mocniej, ale ziemia jeszcze była zimna, zmarznięta, wychłodzona po zimie. Wystarczyło na chwilę usiąść sobie na ziemi aby zaraz jakiś dorosły ostrzegał przed dostaniem wilka. A taki wilk jak już raz wlezie to bardzo trudno się go pozbyć. Pamiętacie jak kiedyś, za czasów poprzedniej komuny, trzeba było całymi dniami wystawać w kolejkach po kawę, pomarańcze czy słodycze. Ile wtedy było kłótni, ile krzyku, przepychania. Tak, to były straszne czasy. Wszyscy wtedy narzekali. Mieli całkowitą rację. Nie było wtedy lekko. Teraz znowu takie nadchodzą. Pierwsze symptomy można było zaobserwować już dawno, przed kilku laty. Z każdym rokiem jest ich coraz więcej, a w dodatku są coraz groźniejsze, coraz bardziej oczywiste. Zupełnie tak samo jest z piwoszami. Im też przychodzi to ciężko. Może początkowo nie zauważają wysiłku włożonego w to stanie. Być może nie zauważają jeszcze ile to można stracić nerwów czekając na otwarcie sklepu. Ale kiedyś to wszystko da znać o sobie. Wtedy będzie już jednak zbyt późno.

Po trzecie: szkodzi na żołądek. Spróbujcie sami wyżyłopać cztery piwa, a potem zjeść normalnie obiad. Mnie się to nigdy nie udaje. Zazwyczaj rezygnuję z obiadu. Czasami tylko udaje

mi się zrezygnować z piwa. Tylu jest wielkich i mądrych ludzi na świecie, tylu wspaniałych naukowców, a jakoś nikt jeszcze nie wpadł na pomysł wyprodukowania piwa zdrowotnego, nietuczącego, niskokalorycznego lub bezkalorycznego. Piwo pije się dla przyjemności, a nie dla grubego brzucha. Piwo powinno się pić dla poprawienia apetytu, dla uregulowania trawienia, a nie dla zaoszczędzenia na posiłkach. Natomiast regularne spożywanie posiłków jest podstawą każdej diety. Diety stosuje się w celu poprawy naszego zdrowia i poprawy sylwetki. Wynika z tego, iż diety i piwo wykluczają się wzajemnie, a więc piwo wyklucza również zdrowie. Wynika z tego, iż piwo wyklucza również zgrabną sylwetkę kobiety czy przystojnego faceta.

Po czwarte: szkodzi na rozum. Sam kiedyś słyszałem jak pewna pani mówiła: – „Patrz, ci znowu stoją pod sklepem i piją piwo. Deszcz leje, trzęsą się z zimna jak galaretowate osiki, a stoją i piją. Chyba nie mają rozumu.” Tak mnie to zafrapowało, że też spróbowałem. Padał drobny kapuśniaczek. Nie mam pojęcia dlaczego tak określa się mały deszcz, jakby określenie mały deszcz nie wystarczało. Wszak nie ma on nic wspólnego z kapuśniakiem, który jest zawsze bardzo gęsty, gorący, parujący, wypchany mięsem i kielbasą. Po kapuśniaku często gonią mnie wiatry, czyli jest to chyba jedyny wspólny element kapuśniaku i deszczu. Piwo było, owszem, dobre, lecz tygodniowy katar nauczył mnie rozumu. Teraz już wiem, że piwo i rozum wykluczają się wzajemnie.

Po piąte: piwo psuje również nasze obyczaje. Kiedyś do każdej uczty gospodarz wyturlał z piwnicy kilka beczek piwa. Oprócz piwa mnóstwo

było również miodu pitnego, sławnej i docenianej Gold Waser, źródeł wina bezdennych, a mięsiwa bywało tyle, że jadło się je przez tydzień, obdarowywało kapelana, zakony, wójta, biędotę z całej okolicy, służbę i parobków śpiących w stodole i jeszcze zostawało na kaca, by nie pić na czczo. Wtedy to ludzie się bawili. Wiadomo – złote i szlacheckie były to czasy. Pod wpływem używania piwa dzisiaj już szlachty nie uraczysz. Spróbuj zaproponować komuś zupełnie niewinnie: „Postaw piwo” – a usłyszysz w odpowiedzi popularną rymowaną: „Przyjechali boye, każdy pije za swoje”. Tak, tak, to już nie te czasy co kiedyś. Dzisiaj ze źródeł pozostały już tylko źródła przecieków we wszelkich urzędach i służbach.

Z powyższych przykładów wynika prawda ostateczna: piwo szkodzi. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ostrzegam wszystkich przed piciem piwa na pusty żołądek. Nadprodukcja kwasów żołądkowych powinna zostać wykorzystana do właściwego trawienia produktów spożywczych. Radzę również nie mieszać tego królewskiego napoju z innym alkoholem. Chyba nie chcecie, by wam piwo zaszkodziło. Zdarzyło mi się kiedyś piwem popijać wódkę. Wódka była paskudna, ciepła, aż mnie wzdrygało, wstrząsało, targało nieomal pod sufit, więc musiałem popijać czymkolwiek co było pod ręką, a oprócz wódki było tylko piwo. Pamiętam, że bardzo płynnie wychodziłem z tej speluny. Pod żadnym pozorem nie wolno też pić piwa z zaczętej przez kogoś butelki. To niehigieniczne i wręcz obrzydliwe. Lepiej przelej do czystej szklanki. I zawsze ale to zawsze pij z rozsądkiem pamiętając, że piwo szkodzi. To by było tyle na temat piwa.



PREMIERY.

gier

#indie #komunizm #dokumenty

Papers, Please

Nigdy nie sądziłem, że zasiądę za biurkiem budki granicznej komunistycznego państwa, rozpatrując kolejne podania o przejście, i będzie mi to sprawiać satysfakcję. Wielką satysfakcję! **Papers, Please** to następny przykład na to, że niewielkimi nakładami finansowymi można stworzyć tytuł, który przebiję swoją grywalnością niejedną wysokobudżetową produkcję. Rozgrywka w głównej mierze polega na analizowaniu papierów – czy zdjęcie w paszporcie się zgadza, czy dane są poprawnie wypełnione, w końcu czy delikwent przekraczający granicę nie szmugluje dóbr zabronionych albo co gorsza – czy nie planuje ataku terrorystycznego? Szybkość obsługi przekłada się na ilość zarobionej gotówki, a ta potrzebna jest do wykarmienia dużej, typowo komunistycznej rodziny, z dziećmi, żoną i teściową na głowie. A do tego dochodzą wybory moralne – czy wpuścić małżeństwo, w którym tylko jedna osoba ma ważne papiery? A może za odpowiednią opłatą przymknąć oko na szpiegów? **Papers, Please** stworzone przez jedną osobę ma rzekomo aż 20 różnych zakończeń, co obliguje do ponownego rozpoczęcia komunistycznej przygody.



#strategia #akcja #RPG

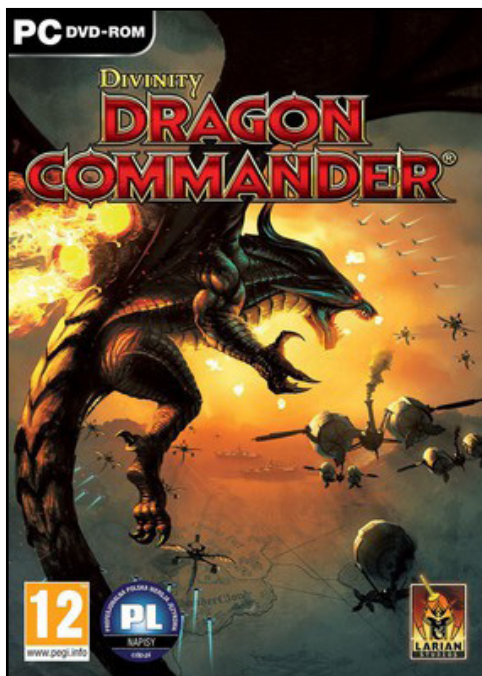
Divinity: Dragon Commander

Czy połączenie strategii, karcianki, gry akcji i RPG może się udać? Pewnie tak, ale musimy na to jeszcze trochę poczekać. **Dragon Commandera** nie możemy bowiem zaliczyć do udanych. Twórcy chcieli tu upchnąć zbyt wiele elementów i gdzieś w tym wszystkim się mocno pogubili. Każdy, kto ograł choć jedną pozycję Larian Studios, doskonale wie, jak dobrze potrafią oni wpleść elementy czysto humorystyczne do całkiem poważnej fabuły. I tu po części się to udało, choć tym razem wyczuwalna jest pewna sztuczność. Ileż mogą bawić żarty o elfach homoseksualistach czy stereotypowe wyobrażenie krasnoludów jako prostaków, chamów i pijaków? Najlepszy z całej otoczki jest tryb strategiczny, choć w porównaniu z planszą z jakiegokolwiek części Total War jego świetność jakby błędnie. Eksperyment się nie udał, pacjent zmarł.

#akcja #gangsterka #strzelanka

PayDay 2

PayDay 2 to taki **Left 4 Dead**, w którym zamiast przechadzających się zombie spotkamy rozdrażnionych policjantów. I w zasadzie na tym mógłbym skończyć tę recenzję, bo każdy kto w grupie przedzierał się przez hordy żywych trupów, doskonale wie, jak bardzo jest to wciągające. Dorzucmy do tego klimat rodem z **Gorączki** Michaela Manna, miejscówki na miarę gangsterskiej klasyki i mamy hit. Do pełni szczęścia zabrakło tu chyba tylko kreacji De Niro i Pacino, ale należy pamiętać, że mamy do czynienia z grą. Kooperacja już dawno nie była tak satysfakcyjna



nująca, a podlane fabularnym sosem scenariusze nakręcają do kolejnych skoków jak nigdy dotąd. Gdyby tak wydzielić poszczególne misje i na ich podstawie nagrać film, otrzymalibyśmy kilka naprawdę kultowych tytułów.

#strategia #historyczna

Europa Universalis IV

Król graficznego Excela powraca po sześciu latach absencji i zdaje się, że wciąż jest w niezwykle wysokiej formie. Czwartą część serii spokojnie można by określić ulubionym powiedzonkiem Cliffa Bleszńskiego – „Bigger, better, morebadass”, ale coś czuję, że w odniesieniu do rasowej strategii niezbyt się to sprawdzi. Może zamiast tego napiszę, że statystyki piętujące się w stosownych ramach mają jeszcze większą siłę przebicia, oddając w ręce graczy spore możliwości, zarówno taktycznie, jak i czysto dyplomatyczne. Starzy wyjadacze mogą lekko kręcić nosem na zbyt duże upodobnienie do **Crusader Kings II**. Choć przyznam, że pstrokaczna atakująca nas z mapy momentami potrafi być męcząca.



#strategia #turowa #science fiction

Space Hulk

Tworząc grę na kanwie planszówki z wieloletnią historią, należy wykazać się pewnym wyczuciem. Połączenie ciekawej rozgrywki z zasadami odzwierciedlającymi oryginał nie jest łatwą rzeczą, o czym sromotnie przekonali się twórcy najnowszego **Space Hulka**. Obok sztywnych zasad warto by było wpleść odrobinę interesującej akcji, czego niestety w tym przypadku zabrakło. **Space Hulk** jest wybitnie powolny i nie tłum-



czą tego nawet terminatorzy kroczący w ogromnych, żelaznych pancerzach wspomaganych. Klaustrofobiczne korytarze starych, z pozoru opuszczonych statków kosmicznych zostały wykonane bez krztyny inwencji twórczej. To samo można powiedzieć o statycznych modelach postaci, bo animacji tu tyle, co kot napłakał. Gra jest wybitnym przykładem na to, że bez odpowiedniego doświadczenia za znaną markę nie ma się nawet co zabierać. W niektórych przypadkach nazwa to o wiele za mało.

#akcja #sandbox #zwarowany humor

SaintsRow IV

SaintsRow, choć reprezentuje ten sam gatunek co **Grand Theft Auto**, stoi na zupełnie przeciwnym biegunie. O ile seria Rockstara sili się na dojrzałą fabułę i jako taki realizm, o tyle gang Świętych wpada w środek rozpierduchy w jaskraworóżowych strojach, strzelając do wszystkich z dubstepgunu i wykrzykując przy tym sprośne wyzwiska w kierunku najatrakcyjniejszych przeciwników. Nie dziwi zatem fakt, że kierujemy prezydentem Stanów Zjednoczonych, który w obliczu zagrożenia politycznego w postaci kosmitów posiadał nadprzyrodzone umiejętności niczym Alex Mercer z **Prototype**. Zwarowana, nieprzyzwoita, po brzegi wypełniona sprośnym, często tandetnym, niekiedy także groteskowym humorem potrafi doskonale odstresować po ciężkim dniu w pracy. No i ten odpowiednio wyważony soundtrack, w którym zarówno fan elektroniki, popu, jak i muzyki poważnej znajdzie coś dla siebie. **SR IV** to chyba najrozsądniejszy zapychacz czasu przed premierą **GTA V**.

Wojciech Onysków

Skala ocen:

Balls of steel

Headshot!

I live, again

Let's rock

War. War never changes

Przed wyruszeniem w drogę,
należy zebrać drużynę

Finish him!

Bomb has been planted

**
Blood for the Blood God

*
Game over



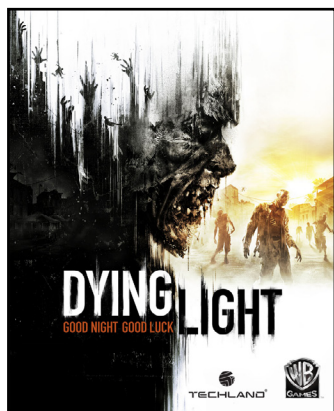
Polskie zombie

po raz trzeci

Powiadają, że do trzech razy sztuka. A skoro poprzednie dwa były nad wyraz udane, to dlaczego teraz miałyby coś pójść nie tak? Z takiego założenia wyszedł polski Techland, przystępując do prac nad **Dying Light**, który momentami jest ludzaco podobny do **Dead Island**. Jak to jednak w życiu bywa, pozory mylą.

Nadzieja to moje drugie imię

Dying Light koncentruje się na przetrwaniu w objętym kwarantanną mieście opanowanym przez zombie oraz stworzenia zainfekowane tajemniczym wirusem. Jednak w przeciwieństwie do przywoływanego **Dead Island** (nie sposób odciąć się od tego tytułu), główny nacisk położony jest na elementy czysto survivalowe. A te odznaczają się przede wszystkim zaawansowanym parkourem.



Dying Light

Główny bohater niczym Faith z **Mirror's Edge** potrafi skakać po wszelkiego rodzaju budynkach, dachach czy pozostałościach po dawnych strukturach. Swoboda ruchu i brak ograniczeń pozwala na dowolne penetrowanie miasta w poszukiwaniu cennych zapasów żywności, medykamentów, jak również broni palnej. Akrobatyczne zdolności przydadzą się również podczas ucieczki przed hordą snujących się żywych trupów. Te będą bowiem występować w zatrważających ilościach, wręcz zalewając otwarte place i zniszczone autostrady. Podjęcie walki z taką grupą nie będzie zatem najrozsądniejszym rozwiązaniem.

Co jakiś czas nad miastem przeleci samolot, zrzucając garstce ocalałych najpotrzebniejsze zapasy. Dotarcie do celu przed innymi grupami będzie wówczas na wagę złota. Niejednokrotnie spotkamy się z przewagą liczebną „myślących” przeciwników, przejawiającą się w wysoko dziedrzonej dwururce. W takim przypadku pozostaje wycofać się w bezpieczne miejsce i oczekiwać nadarzającej się okazji.



Dying Light zaoferuje oczywiście wątek główny, jednakże w obecnej chwili nie wiemy zbyt wiele na jego temat. Nie trzeba być jednak mistrzem dedukcji, aby się domyślić, że obok przetrwania pojawi się również zagadka tajemniczej zarazy, która trawi miasto. Twórcy zapowiadają również szereg zadań pobocznych oraz zdarzeń czysto losowych, często ograniczonych czasowo.

From Dusk Till Dawn

Zdolności akrobatyczne dadzą nam dużą przewagę za dnia, gdy trupy są bezmyślne i w miarę spokojne. Po zapadnięciu zmroku, gdy gorejące słońce schowa się

za horyzont, na ulice zaczną wypełzać tajemnicze istoty, o wiele potężniejsze od swoich dziennych braci. Wtedy też sytuacja ulegnie diametralnej zmianie. Z łowcy staniemy się ofiarą usiłującą przetrwać pośród oprawców, a naszym największym przyjacielem będzie cień. Choć może się to okazać mylne.

Świat w ***Dying Light*** będzie żył własnym życiem. Zmienny cykl dnia i nocy zmodyfikuje rozgrywkę, jednak tylko od gracza będzie zależało, czy przed zachodem słońca wybierze się na długą wyprawę, czy też bezpiecznie przeczeka noc w kryjówce. Oczywiście twórcy zapowiadają, że kilka zadań



z głównego wątku wy-
musi na nas przechadz-
kę przy świetle księży-
ca, jednak w większości
sytuacji będziemy mieli
wybór.

Good Night Good Luck

Dying Light powstaje na
nowym silniku graficz-
nym, zaprojektowanym
specjalnie z myślą o ne-
xtgenach. Zaprezentowane fragmenty
rozgrywki już teraz robią niesamowite
wrażenie, co stanowi dobrą progno-
zę na przyszłość. Całkowita swoboda
działania okraszona niepokojącymi
pojękiwaniami zombie może się okazać



strzałem w dziesiątkę. Jak widać, pomi-
mo ogólnego przesycenia, w temacie
żywych trupów wciąż można wymyślić
coś nowego. Premiera dopiero w 2014
roku, ale już teraz warto zapisać sobie
ten tytuł w notesie.

Wojciech Onysków



BUDUJEMY
MUZEUM GIER WIDEO
WE WROCŁAWIU